ROK XI WARSZAWA, MAJ-CZERWIEC 1936 Nr. 3

RUCH LITERACKI

ZAŁOŻONY PRZEZ BRONISŁAWA GUBRYNOWICZA

TREŚĆ

TOWARZYSTWO LITERACKIE IM. A. MICKIEWICZA
ODDZIAŁ WARSZAWSKI

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLJOTEKA POLSKA" WARSZAWA

ROK XI WARSZAWA, MAJ-CZERWIEC 1936 Nr. 3

RUCH LITERACKI

ZAŁOŻONY PRZEZ BRONISŁAWA GUBRYNOWICZA

DZIEŁO PROF. BRONISŁAWA GUBRYNOWICZA

Puścizna uczonego, który opuścił grono żyjących, wywołuje inne wrażenia i myśli, niż twórczość autorów, mających przed sobą otwartą drogę doskonalenia się i postępu. Wartość rzeczowa dorobku naukowego jest już zwykle ustalona w sposób bezsporny, toteż określanie jej ponowne byłoby w znacznym stopniu powtarzaniem rzeczy znanych. Budzi się natomiast nieodparte pragnienie, aby po tylokrotnem podchodzeniu do wysiłków uczonego od strony objektywnej przeniknąć poza jej powłokę zewnętrzną i usiłować odgadnąć, co kryło się pod beznamiętnym spokojem postawy badawczej. Wolno ogarnąć na chwilę niewidzącem spojrzeniem wyniki, by przez ich pryzmat spojrzeć na człowieka, i zamyślić się nad tem, jaka indywidualność wypowiadała się w ramach dobrowolnie przyjętych rygorów dyscypliny naukowej.

Wydanie „Studjów literackich" profesora Bronisława Gubrynowicza, które ukazały się jako drugi tom Bibljoteki Pamiętnika Literackiego [1], do pójścia w tym kierunku wyraźnie zachęca. Pokaźny tom zawiera rozprawy i recenzje zgasłego uczonego, pisane w różnych okresach pracy naukowej, i składa się na wielostronny obraz jego zainteresowań i wysiłków. Doskonały wstęp pióra prof. Krzyżanowskiego kreśli przejrzyście bilans nieprzemijających osiągnięć Zmarłego w dziedzinie wiedzy o literaturze. Toteż uwaga czytelnika może się skupić całkowicie na lekturze zawartych w tomie studjów bez troski o wartościowanie.

Do takiego stanowiska skłania również postawa badawcza zmarłego profesora. Jedną z ulubionych przezeń form wypowiadania się była recenzja. Otóż jako recenzent odznaczał się tem, że nie poprzestawał na charakterystyce strony rzeczowej książki, na wyliczeniu zalet i uchybień, czy wprowadzeniu poprawek, lecz starał się w miarę możności rzucić światło na osobę autora. Twórczość naukowo-literacka była dlań wyraźnie nietylko oderwaną pracą badawczą, lecz również wyrazem osobowości uczonego i prądów jego epoki. Stanowisko to określa najpełniej w omówieniu monografji J. Kleinera o Słowackim. Okazuje się wrażliwy w wysokim stopniu na ogólną atmosferę i cały podkład uczuciowy rozprawy. Wypowiada przekonanie, że źródłem popularności dzieła Kleinera jest nietylko strona naukowa, lecz również sam „wybór tematu; liczne rzesze czytelników ujął przedewszystkiem zasadniczy ton, brzmiący zgodnie z nastrojem pokolenia, którego reprezentantem jest prof. Kleiner i które w puściźnie twórcy „Króla Ducha" szuka odpowiedzi na dręczące wątpliwości".

Co więcej, w stosunku prof. Gubrynowicza do omawianych przezeń rozpraw widać szczególną troskę o to, aby nie zamącić przebijającego się w nich nastroju.

[1] Bronisław Gubrynowicz: Studja literackie. Z portretem autora i wstępem Juljana Krzyżanowskiego. Warszawa 1935, s. 311. Bibljoteka Pamiętnika Literackiego, T. 2. Nakładem T-wa Lit. im. A. Mickiewicza (Oddział Warszawski). Skład główny „Bibljoteka Polska".

W uwagach krytycznych zachowuje dużą wyrozumiałość i zwykle dodaje bądź słowa zachęty, bądź też uznania, czy nawet gorącego poklasku. O swych zastrzeżeniach, wysuniętych w stosunku do książki o Słowackim, wypowiada znaczącą uwagę, że jeśli je poruszył, „to przedewszystkiem z tego względu, iż urok, bijący z kart monografji, a pociągający nietylko zwykłych, przygodnych czytelników, lecz również liczną rzeszę młodocianych pracowników, powinien pozostać niezamącony; naśladowcy nieudolni z łatwością mogą pierwowzór skarykaturować“ (str. 258). Urok, ton, nastrój pokolenia — oto wyrażenia, dla których profesor umie znaleźć miejsce w recenzji naukowej.

Owa wrażliwość na podkład emocjonalny studjum literackiego — to jedna z uderzających właściwości Zmarłego. Czas nie osłabił jego odbiorczości, która w sposób naturalny i świeży reagowała na zjawiska, znajdujące się w sferze jej zasięgu. Nie zniekształca jej ani zachowawczość, ani tendencja. Wprawdzie dla mistrzów dawnej epoki, przedewszystkiem dla Małeckiego, żywił zawsze szacunek, któremu dawał wyraz przy różnych sposobnościach; zdawał sobie jednak doskonale sprawę z tego, że każde pokolenie stwarza własną kulturę i wyszukuje dla niej odpowiedniego wyrazu. Właśnie w monografji prof. Kleinera widział „wszystkie cechy dzieła monumentalnego, w którem zarysowuje się niezwykle wyraziście nietylko wybitna indywidualność autora, lecz również całego jego pokolenia“ (str. 274).

Ogromna erudycja profesora nietylko nie hamowała jego zainteresowań literackich, lecz raczej przyczyniała się do ich wielostronności. W pracy nad powieścią i romansem rozpoczynał studja od wieku XVI, a sięgał aż do czasów najnowszych z Reymontem włącznie. Jak widać, rozpiętość skali jest potężna. Najrozleglejsze studja Zmarłego wiążą się z dziejami preromantyzmu. Obok tego bliska mu była trójca wieszczów romantycznych, z której szczególnym kultem otaczał zawsze Mickiewicza. Chętnie sięgał do epoki pozytywizmu; starał się dotrzymywać kroku współczesnemu sobie prądowi literackiemu, którym była dlań przedewszystkiem Młoda Polska. Ta chwytliwość umysłu utrudniała wprawdzie koncentrację w pracy, chroniła jednak od monotonji i jednostronności.

W dążeniu do usprawnienia narzędzi wiedzy o literaturze zaznaczył się w pismach Zmarłego stały wysiłek. Słusznie zwrócił prof. Krzyżanowski uwagę na tę okoliczność, że autora rozprawy o Małeckim poza nielicznemi odchyleniami cechowało skupianie uwagi nie na materjale biograficznym, lecz na dziele literackiem jako tworze samoistnym. Ambicją jego było zawsze opieranie wiedzy na rzetelnych przesłankach. Wcześnie dawał wyraz poglądowi, że „stanowisko krytyki literackiej zmieniło się i nie polega jedynie na wyrażeniu bezmyślnych zachwytów lub potępień, opartych na szeregu czczych formułek...“ (str. 95). Występował energicznie przeciwko jałowej wpływologji; oświadczał stanowczo, że „należałoby unikać mechanicznego zestawienia podobieństw w słowach czy też w sytuacjach“ (str. 242). W przeciwieństwie do tego rodzaju zastrzeżeń wydał korzystną opinję o postawie badawczej W. Bruchnalskiego, który w książce o Reju wyłączył wszelkie szczegóły biograficzne, a jednak „znalazł dla oceny ogólnej punkt widzenia (forma, język i rodzaj dzieła) i nakreślił — po mistrzowsku — pełen wyrazistych rysów wizerunek poety w taki sposób, iż nikt z czytelników nie odczuwał jakiegoś braku, nikt nie mógł wytknąć jakiejś niejasności“ (str. 254). Słowa te odsłaniają w najogólniejszych konturach wzór badania literackiego, jaki miał przed oczyma profesor w ostatnich latach pracy. Doszedł do wniosku, że „domieszka materjału biograficznego, choćby z największą przezornością dokonana, musi wywołać w ogólnym obrazie pewne zamącenie — i dziwić

się nie można, iż pobudza do krytyki". Tak stanowczo określony pogląd na zakres badań literackich zasługuje na uwagę tem bardziej, że przypomina pod pewnym względem dążności teoretyków doby ostatniej.

Troska o prawdę i objektywizm cechowała profesora w każdem jego wystąpieniu. „Bo nie wolno nam zapominać, że więcej warta prawda, aniżeli tysiące myśli o prawdzie — a przedewszystkiem ta prawda, w którą się wierzy, o której się jest przekonanym, którą się żyje" (str. 303). Ten surowy, ascetyczny niemal nakaz, wypowiedziany na marginesie studjum o Reymoncie, ilustruje najlepiej ideały naukowe profesora. Nakaz ten zaważył na teoretycznym podkładzie badań Zmarłego oraz na ogólnym charakterze jego pism, nacechowanych spokojną stanowczością i równowagą. Niechętnie wdawał się w dyskusje wartościujące; nawiązując do wymiany zdań między profesorami Chrzanowskim i Kleinerem na temat zalet i wad „Lilli Wenedy", podkreślał z naciskiem, że według jego przekonania — „nie jest celem dzieła naukowego wyznaczanie jakichś rang czy stanowisk w literaturze, które posiadają wartość względną, mogą być oparte na różnych przesłankach i zmienione z pokolenia na pokolenie. Sądy takie należą do podręczników szkolnych..." (str. 268).

Względy metodyczne nie przesłaniały nigdy w pracach profesora zdrowego sądu o zjawiskach literackich. Umiał dostrzegać w nich stronę życiową; nie dawał się uwieść doktrynie czy też sugestji błyskotliwego pomysłu. Stwierdził np. przenikliwie, że „inaczej należałoby przedstawić wpływ Osjana czy Chateaubrianda, a w inny znów sposób wpływ Schillera w Polsce; pierwsi z nich posiadali tylko znaczenie literackie, ostatni zaś stał się częścią integralną umysłowości naszej i wycisnął na niej piętno znamienne" (str. 218). Podobnie z rozważnym umiarem korygował ambitne oświadczenie J. Kleinera, że dopiero jego pokolenie zrozumiało „krzyk rozpaczy Konrada, wołającego do niebios o cud, któryby okropnościom ziemi kres położył", że ono dopiero odczuło „bezmiar bólu, jaki wzbiera w sercu Polelum, wśród zagłady Wenedów tragicznie wywyższonego na stosie ponad wrogów" i t. p. Nie czyniły na profesorze wrażenia hipotezy efektowne, a zwodnicze. Krytycznie omawia zestawienie dwóch sióstr w „Lilli Wenedzie" z Dianą i Stellą w „Fantazym" i spieszy dodać, że „za daleko idzie tutaj przenikliwość badacza; wystarczyło w zupełności wskazanie, iż modelami obu tych postaci były Ludwika i Zofja Bobrówny" (str. 271). Tak samo wyraża się z powątpiewaniem o porównaniu między „Panem Tadeuszem", a „Złotą Czaszką", wypowiadając przekonanie, iż „porównanie kuleje, podobieństwo łudzi".

Ceniąc nadewszystko rzetelność w pracy i myśleniu, umiał profesor dostrzec prawdziwą zasługę naukową; nie przesłaniały mu jej dostrzegane błędy, które dzięki swej rozległej wiedzy umiał podchwytywać z dużą przenikliwością. Stać go było na wypowiadanie sądów pochlebnych w formie śmiałej i zdecydowanej. Dla młodych i niedoświadczonych znajdował życzliwe słowo. Zawsze, ilekroć uderzało go u innych badaczy trafne sformułowanie zagadnienia, którem sam się zajmował, cytował je z wdzięcznością i odpowiedniem wyróżnieniem. Własne zasługi oceniał o wiele surowiej, dając przy różnych okazjach wyraz skromności naukowej. Oto np. we wstępie do studjum o Brodzińskim czytamy zdanie następujące: „Jeśli rozprawka ta potrafi zachęcić jakieś wytrawniejsze pióro do skreślenia gruntownej oceny tej ostatniej epoki działalności „śpiewaka Wiesława" — cel jej w zupełności osiągniętym zostanie" (str. 153).

W spokojnej rzeczowości studjów prof. Gubrynowicza zrzadka jedynie można dostrzec bezpośrednie odchylenia bardziej osobistej natury. Nieraz dawał wyraz pogodzie usposobienia; czasem zdradzał się z uśmiechem na widok jakiejś osobli-

wości w przedmiocie badań. Togę uczonego nosił z powagą i godnością, widać jednak, że mu nie ciążyła, że nie krępowała jego poruszeń.

Żywszem tętnem bije jego twórczość wtedy, gdy mowa o sprawie publicznej. W beznamiętnej, zda się, rozprawie o Brodzińskim na marginesie objektywnych dociekań znalazło się miejsce na refleksje na temat — walki o wolność:

„Są cierpienia w duszy ludzkiej, wrażeniami dotkliwemi i przykremi wywołane, które z biegiem czasu nietylko że nie ustępują, lecz ciągle się potęgują i wzrastają; powoli wypełniają całą duszę, drażnią ją wspomnieniami i nie pozwalają o sobie zapomnieć. Nie wiem, czy może być coś bardziej bolesnego dla człowieka, kiedy ujrzy, że naród jego chwyci za oręż w obronie swojej wolności, przelawszy krwi morze, nie zdołał sprostać zadaniu, które przedsiębrał, i musiał się pożegnać z wszelkiemi nadziejami i przybrać na nowo kajdany więzienne — tem boleśniejsze, że pętające nietylko ciało, ale i ducha" (str. 189).

Tego rodzaju sądy ogólne cisnęły się jakby przemocą pod pióro, świadcząc wyraźnie, że pod powłoką równowagi badawczej płynął strumień silnego uczucia. Zaznaczało się ono nietyle w oświadczeniach profesora, który najbardziej umiłowanym wyrazom rzadko pozwalał wybiegać na wargi, ile w działalności twórczej: w pracy redakcyjnej, prowadzeniu odczytów, wygłaszanych z ramienia Towarzystwa Oświaty Ludowej we Lwowie w miastach i miasteczkach prowincjonalnych byłego zaboru austrjackiego, w organizowaniu wykładów wieczorowych, w serji przemówień żałobnych i okolicznościowych i t. p.

Profesor Gubrynowicz należał do ludzi, którzy wykonywanej pracy umieli nadać wyraz własnej indywidualności. Odczują to wszyscy, którzy pod właściwym kątem widzenia spojrzą na jego dorobek naukowy. Dla tych zaś, którzy z profesorem obcowali bezpośrednio, lektura „Studjów literackich" stanowić będzie żywe i zawsze drogie wspomnienie.

Warszawa. *Mieczysław Giergielewicz.*

PRAWDA O „BOGURODZICY"

1. Dzieje tej pieśni splotły się najściślej z dziejami pieśni czeskiej „Hospodine pomiluj ny" i jedne tłumaczą się drugiemi. Ponieważ tego nie doceniono, powstały mrzonki o źródłach, wieku i autorach BR, które naukę polską tylko kompromitować mogą.

2. Nazwy autora, miejsca i roku obu pieśni nigdy się nie dowiemy, ależ krótsze utwory średniowieczne obiegały stale bez nich, bo nie pragnęli autorowie żadnej sławy osobistej; więc starczy nam wykaz okoliczności, śród których powstały t. j. czas; miejsce bywa już znacznie wątpliwsze; o autorze głucho.

3. Niema żadnej tradycji o powstaniu ich obu. Mnich Jan z Holeszowa zmyślił r. 1397 ś. Wojciecha jako autora (co później i Cyrylowi i Metodemu przypisywano) i to uchodziło w 15 w. za dogmat; dowiedziano się o tem i w Polsce już przez stałą wymianę polskich i czeskich księży i r. 1506 zmyślił wedle tego to samo Jan Łaski na wstępie do „Statutów", co za nim r. 1570 powtórzył tłumacz ich Herburt; w 16 w. uchodziło to za pewnik; powtórzył go najpierw odpis cieszyński BR z pierwszego czy drugiego dziesięciolecia 16 w., a za nim wszystkie

późniejsze. Średniowiecze samo nigdy nic o autorze nie wiedziało, uchodziła BR za „patrium carmen", za „dawną pieśń starych ojców", „starą pieśń nie mojej pamięci" i t. p. Czy nie przebąkiwano już i wcześniej nieco coś podobnego, to obojętne; daty 1397 i 1506, jako autentyczne, zupełnie nam starczą; milczenie Długosza świadczy najwymowniej.

4. Odpisy obu pieśni są późne, szczególnie czeskiej, bo z końca 14 w., polskiej znacznie rychlejszy, około r. 1410; natomiast wzmianki o czeskiej są nierównie starsze, z 13 w. a może jest już u Koźmy praskiego, jeśli jego wzmianka „cantantes Kyrie eleison cantilenam dulcem" przy r. 1055 do „Hospodine" się odnosi, o czem bardzo wątpić należy; ja ją odrzucam.

5. W Gnieźnie nie miano nawet poprawniejszego odpisu; co wydrukował Łaski, jest gorsze niż wszelkie małopolskie. O początku — przeznaczeniu pieśni zmyślił Łaski nonsens, który za nim dosłownie powtórzył Herburt i wszyscy późniejsi; była to niby pieśń bojowa, z którą spotykało się wroga. BR, jak i „Hospodine", była jedyną pieśnią polską, którą wszędzie i zawsze w kościele i na procesjach śpiewano, przed czy po kazaniu, na Boże Narodzenie czy na Wniebowstąpienie (Łoś przeznaczał BR najmylniej Bożemu Narodzeniu i stąd wyszły dalsze jego niemożliwe wywody o bożyku jakimś), na polu boju czy w katedrze po „Te Deum laudamus" i t. d.

6. Wobec milczenia Koźmy powstałaby pieśń czeska dopiero po jego śmierci, około r. 1130; BR byłaby niemal o półtora wieku młodsza, około r. 1250; wspomniany „kierlesz" polski w ruskiej kronice wołyńskiej r. 1247 można odnieść do samej inwokacji jaką np. Czesi przy instalacji pierwszego biskupa praskiego w 10 w. powtarzali a którą miał Koźma na myśli pod r. 1055.

7. Czeski hymn rozszerza samą inwokację; polski jest modlitwą, którą mają wznieść do Syna Bożego za nami BR i ś. Jan Chrzciciel wedle obrządku wschodniego; deesis (modlitwa, od 'deomai' proszę), wystawiano nad carskiemi wrotami w obrazie Chrystusa, do którego BR i ś. Jan Chrzciciel się modlą.

8. Wobec wzmożonego w 13 w. kultu Maryjnego nie obdzielił autor polski w równej mierze ś. Jana i Marję; Jej poświęcił całą pierwszą zwrotkę, ś. Jana gołosłownie w drugiej wymienił. Ponieważ BR jest komentarzem niby do greckiej Deesis odpada z góry cała kopa domysłów o dwu różnych pieśniach BR, o rozmaitych autorach tej pieśni i t. d.

9. Greckiej deesis obrządek rzymski nie znał, ale w 12 i 13 w. obiegała ta kompozycja na całym Zachodzie; w psałterzu trzebnickim z początku 13 w. jest na k. 157 „Deesis i pochód do raju" (Wł. Podlacha, Minjatury śląskie, str. 207 w Historji Śląska III: „Kompozycja środkowa, Chrystus, Marja i Jan Chrz. jest typowa dla ikonografji bizantyńskiej... opiera się na literaturze liturgicznej Kościoła wschodniego... ma tytuł *deesis* modlitwa... sama dla siebie jest symbolem aktu modlitwy" [dodaję, por. wiersz BR: Słysz modlitwę jąż nosimy]. „Kompozycję wielkiej deisis użyto do ilustracji litanji w 13 w. na zachodzie Europy, a mianowicie w kościele wyższym św. Franciszka w Asyżu i w szkole miniatorskiej w Turyngji i Saksonji; w psałterzu ś. Elżbiety z muzeum w Cividale, z początku 13 w., siedzi na pierwszej stronie (litanja do wszystkich świętych) Chrystus na tronie między Matką Boską i ś. Janem Chrz., którzy stoją w klasycznych pozach modlitewnych", Celina Osieczkowska, Mozajka zdobiąca tympanon drzwi królewskich w kościele ś. Zofji w Konstantynopolu, Prace sekcji historji sztuki Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie, t. II, Wilno 1935, s. 8). „Wywodzenie kompozycji Deesis z ogólno chrześcijańskich pojęć religijnych nie wytrzymuje krytyki wobec źródeł liturgicznych i zabytkowych", Podlacha l. c.

10. Taką to kompozycją, czy z kart jakiegoś psałterza, czy z ściany franciszkańskiej w Assyżu, czy z jakiejś cerkwi ruskiej, przejął się autor BR; minjaturzyści zachodni łączyli wschodnią Deesis z sceną sądu ostatecznego, gdzie wezwanie pośrednictwa do Sędziego-Chrystusa było wcale stosowne, albo poprzedzali nią litanje Kościoła zachodniego; odpadają więc wszelkie przywidzenia o bazyljanach, o ś. Wojciechu, o theotokionach bizantyńskich, nieznanych Kościołowi zachodniemu; fakty przytoczone umorzyły romanse o BR w zarodzie.

11. Badanie filologiczne tekstu nie dało wyników, bo było mylnie nastawione i nie domyśliło się rzeczy najważniejszych. Oto pierwszy pieśniarz polski nie krępował się językiem ustalonym, rządził się po swojemu. Żaden Polak, ani przed, ani po nim nie rozbijał *bogosławionego* czy *błogosławionego* (BR dała najstarszy przykład tej bałamutni bogosławieństwa) na dwa słowa: *bogiem i sławienia; Bogu rodzica* może też dwa słowa, nie jedno (*Bogu* jednak istniało i we złożeniach); dziwi, że użył wołacza, *matko*, ale zamiast oczekiwanych wołaczy: *Bogu rodzice, dziewice*, użył mianowników, *dziewica* i t. d.; uniknął formy *maci* lub *macierz*, jako zbyt pospolitych; użył form starszych, *twego* dwukrotnie (nie *twojego*); *sławienia, zwolena*, nie *sławiona, zwolona*; mieszał dowolnie formy na *i* i bez *i* (rozkaźniki i bezokoliczniki). Użył na znaczącem miejscu rymu pełnego, a więc *syna* — *gospodzina* (*gospodna* ani starsze — przeciwnie! — ani tu dla liczby zgłosek możliwe); ponieważ *dziewicy* nie mógł zastąpić *dziewą, dziewką* czy *dziewoją*, bo już było uświęcone, należało doszukać do niej rymu pełnego, a więc *bogorodzico*, znanego i u Czechów i w Polsce. Głoski liczył, więc razi 9 zgłoskowe *a dać raczy jegoż prosimy* śród trzech 8 zgłoskowców; wątpię, by z czeska *jegoż* jednozgłoskowo czytać wolno; nasuwają się różne poprawki. W *krzciczela* brak jednej zgłoski, winne być 4 zgłoski, więc proponowałem wedle *chrześcijanin* i t. p., *krześciciela*, co byłoby również hapax legomenon, więc się przy niem nie upieram. Takiem hapax legomenon jest jednak *bożycze*, bo Zachód i Wschód słowiański wstrzymywały się w kościele od słowa, któremu żadne greckie ani łacińskie nie odpowiadało, jako żywcem słowiańskiemu; jest u Czechów, arcyrzadkie; na całem Południu częste, ale w odmiennem poniekąd, obrzędowem znaczeniu; ludowej formy *Marza* autor się wystrzegł. *U* w drugim wierszu pierwszej zwrotki nie ma sensu i należy je raz na zawsze skreślić. O rytmie i rymach BR pisał Łoś; o melodji nie moja rzecz sądzić.

12. Czas powstania BR, najwcześniej połowa 13 w.; miejsce Małopolska (nie Śląsk, tem mniej inne dzielnice); autor, franciszkanin chyba, bo o polskości franciszkanów małopolskich mamy wyraźne świadectwo, na Śląsku było inaczej. Zagadkowego w BR, oprócz talentu pieśniarza, nie ma więc wcale.

13. BR jest więc niby tekstem do kompozycji Deisisy; wszystko w nim jasne, razi tylko w w. 1, 3 *spuści nam* (Syna), — *zyszczy* to w najlepszym porządku, to cel tej modlitwy, ale *spuści*? Czy to nie za wiele, nie pierwszy u nas przejaw czci zbytnej?

14. Przed 35 laty „rozwiązałem zagadkę" BR; czas (r. 1280) i miejsce (Małopolska) ulokowałem nieźle; naciąganie samego tekstu do pewnych osób i zdarzeń życiowych najmylniejsze; dziś mógłbym z nierównie lepszem prawem użyć tego terminu, ależ nie „rozwiązywałem zagadek", tylko ustalałem prawdę — więc skromniejszy tytuł lepiej treści odpowiada.

Berlin. *Aleksander Brückner.*

LISTY SOBIESKIEGO DO MARYSIEŃKI JAKO ZJAWISKO KULTURALNE I LITERACKIE

II.

Tak więc uznaliśmy, że Sobieski jest człowiekiem kultury francuskiej, którą specjalnie nietylko sobie przyswaja, ale indywidualnie przeżywa na wycinku kultury miłosnej. Jego listy do Marysieńki są wyrazem tej kultury w szeregu najważniejszych psychicznych nastawień autora wobec rzeczywistości i w szeregu ujęć tej rzeczywistości. Pochopność do pióra, zwłaszcza do listów miłosnych, charakterystyczne ustalenie stosunku do kobiety, wyrażającego się pokorną czcią ze strony mężczyzny, kult dla miłości jako najważniejszej sprawy życia, najgłębsze zainteresowanie istotą miłości, znajomość i przyswojenie obrzędowości życia miłosnego we Francji, przeniknienie kultury salonu i pozytywne ustosunkowanie się do waloru estetycznego języka francuskiego — to są te elementy, które zdradzone przez treść i ton listów, świadczą, że Sobieski był jednym z pierwszych, którzy na grunt polski przeszczepili kulturę francuską. Wspomnieliśmy także, że nie było w tem ze strony Sobieskiego chłodnego hołdowania modzie, lecz pełnia przeżycia, która się wyraża zupełną jego swobodą w poruszaniu się w atmosferze i wytworzonych przez nią warunkach tej kultury, co sprawia, że nigdy nie wygląda ona na nim jak maska, czy choćby niewygodny strój, lecz, że jest wyrazem jego bezpośrednich doznań. Daje tego dowód także przez zindywidualizowanie jej zasadniczych rysów tak, że się przez nie może wypowiedzieć esteta i artysta. Boć listy te mają piętno artystyczne, co podkreślaliśmy omawiając poszczególne w nich rysy kultury francuskiej, czyli tem samem są wyrazem twórczego doń nastawienia autora. W sumie możemy powtórzyć, że Sobieski przejmując z Francji typ kultury miłosnej przedewszystkiem przejmuje jej ducha, jej charakter, jej rysy obyczajowe, lecz nadaje jej piętno własnego „ja", piętno czegoś indywidualnie przeżytego.

A teraz wypada zapytać w konsekwencji, jakie w tem „ja" indywidualnem zajmuje miejsce żywioł kultury rodzimej. Czy kultura miłosna francuska przejęta w tak bardzo silnym stopniu wyrugowała ze sfery życia i wyrazu artystycznego kulturę sarmacką?

Jak widzieliśmy nietylko w wyrazie artystycznym tę francuską kulturę ujmuje Sobieski w sposób indywidualny, ale także na płaszczyźnie swych przeżyć. Dzięki pomostowi jego indywidualizmu powstaje właśnie w jego listach arcyciekawy stop pierwiastka kultury rodzimej z importowanym francuskim kształtem.

Jednym z ciekawszych rysów stopu i w miłości i w jej wyrazie epistolograficznym u Sobieskiego, rysem, który tłumaczyć możemy związkiem z sarmackością — jest antywerbalizm. Oczywiście nie mamy tu na myśli skąpstwa słów, któremi kochanek i epistolograf żongluje, boć właśnie tych słów jest dużo. Ale mają one u niego swą pełnowartościowość, nie są zdewaluowane, nie są przeznaczone dla samego pięknego brzmienia, lecz ciężarem swej treści mają działać na ukochaną. Każde słowo jest wzięte, jakeśmy to przy innej okazji stwierdzili — na serjo. Bo też atmosfera miłosności nie jest podszyta zabawą, grą towarzyską, niema w niej tego, co we Francji pasowało ją na rzecz salonową. Dostojność, powaga aż do zapamiętania wprost przekreślają w stosunku do niej lekkomyślność, którą nawet sam Sobieski uważa za typową dla miłości we Francji.

Ta solidność w ujęciu miłości — biegiem rzeczy istnie sarmackim — sprawia, że miłość ku młodziutkiej dworce, potem ku cudzej żonie przechodzi, wciąż bez zmiany przedmiotu miłości — w stałą przez dziesiątki lat miłość ku własnej żonie. Umiłowanie żony, wysunięcie na pierwszy plan w życiu miłosnem miłości małżeńskiej, było czemś głęboko wrośniętem w polski sposób odczuwania. Nimb otaczający we Francji damę-kochankę, w Polsce żonę, zespolił się nad głową Marysieńki, wytwarzając w tej miłości warunki równie typowe z punktu widzenia kultury francuskiej, jak i polskiej. „Celadon" i „Jahniczek"[1], jak męża niekiedy nazywa Marysieńka, to dwójosobowość męża-kochanka, którą wytworzył podwójny typ jego kultury miłosnej[2].

Z „małżeńskości" w miłości Sobieskiego płyną i inne rysy jego miłości. Ślubna przysięga nadaje jej rys wierności bez grymasów i załamań. Wielokrotnie swą wierność podkreśla Sobieski, czyniąc z niej rys podstawowy dla swego stosunku do ukochanej. Niewątpliwie nie jest ona sprzeczna z pojęciem francuskiem; przeciwnie, w salonach jest ona nawet owiana poezją podobnie jak długotrwałość uczuć, dla których przysłowiowym przykładem stała się miłość duc'a de Montansier ku Julie d'Angenne. Tutaj jednak nie jest wierność traktowana z punktu widzenia poetyczności, lecz nosi znamiona bohaterskiego obowiązku, jest programem dla t r e ś c i miłości, nie dla jej formy, nie dla zewnętrznego upiększenia.

Nietylko wierność, lecz jednolitość, bezkapryśność, solidność znamionuje małżeńską miłość Sobieskiego zgodnie z tem, czego kultura polska domagała się od pojęcia miłości. Przechodząca od nastroju do nastroju, od kaprysu do kaprysu, przez różne fazy natężeń i różne odcienie oporności miłość Marysieńki realizuje to, co się podobało w francuskim salonie, oczywiście ze strony kobiety.

Element obowiązku tak zasadniczy w pojęciu miłości małżeńskiej wprowadza w miłość kochanków a t m o s f e r ę r o d z i n n o ś c i, którą owiane są np. listy Sobieskiego z okresu przyjścia na świat pierwszego dziecka.

Poprzez listy Sobieskiego przeziera psychika sformowana r e l i g i j n i e; doskonale się godzą pierwiastki religijności z żywiołem po staropolsku pojętej miłości. To też zarówno pojęcia religijne jak i ich odpowiedniki słowne nigdy nie mają charakteru pustej ornamentyki. A równocześnie żywioł religijny i miłosny nie są ze sobą stopione w trudną do wyróżnienia masę, jak się ma rzecz np. w listach z Tegernsee, w listach mistyków i pietystów. Sarmacka trzeźwość utrzymuje tu naturalną granicę między dwoma sferami odczuwań i przeżyć. U Sobieskiego stoją jako oboczność: „... a nie przeciwić się woli Bożej. Ten nam jako zawsze przyda aniołów swoich, że da P. Bóg w dobrem powrócić zdrowiu".[3]

Charakterystyczna religijność jest znamienną towarzyszką myśli i poczynań Sobieskiego-Salwatora i poza obrębem jego najprywatniejszych uczuć. W roku 1671 pisze: „Ale nietylko ten niewczas podjąć, ale i zdrowie swoje położyć miło mi będzie za wiarę świętą, za którą umrzeć każdy poczciwy ma mieć sobie za największe szczęście".[4]

Równie sarmackim rysem jak szczera religijność jest z drugiej strony pewna r u b a s z n o ś ć, broniąca przed szczytami egzaltacji i trzymająca wyobraźnię przy ziemi. Ta szlachecka rubaszność, sprzeczna z duchem galanterji francuskiej,

---

[1] Listy 1683, str. 437.

[2] To też dziwnie wymieszane są np. apostrofy w liście raz o tkliwości małżeńskiej, raz o entuzjazmie kochanka. „Żoneczko moja najśliczniejsza, największa duszy i serca pociecho", (tamże 1665, str. 7), „Mamusieńko", „złota Panno", „najśliczniejszy serca mego Panie", „śliczna Marysieńko" (tamże str. 43).

[3] Listy 1683, str. 371.

[4] listy str. 232.

wyciska w korespondencji Sobieskiego swoje piętno nietylko na dowcipie, lecz i na wyrazach czułości. Trudnoby adaptować dla smaku francuskiego taki szlachecki kares: „Celadon radby się przemienił w płeszkę, nie żeby inkomodował tak jak ona Dobrodziejkę swoją, ale żeby się przynajmniej tykał tak ślicznego i delikatnego jej ciałeczka.“ [1]

Mimo ogromu miłości — żywiołu znajduje się w listach Sobieskiego miejsce dla innych jeszcze jego zainteresowań tak, że przez te listy mimo pozornie jednolitego nastawienia przeziera cały człowiek, integralny, takim się pokazując, jakim jest w życiu. Widać — ukazanie siebie w złożoności uczuć zainteresowań nie było sprzeczne z poczuciem estetycznem Sobieskiego-epistolografa. Pod tym względem listy miłosne typu francuskiego są ciaśniejsze; w wielkiej mierze dlatego, że urabiana przez francuski salon indywidualność była ciaśniejsza, o mniejszych rozpiętościach życiowych, ale także dlatego, że echa z innej sfery doznań raziły estetycznie ucho francuskie, jakoby tłumiąc ekspresję miłosności przez sam fakt współwyrażania z miłością i innych przeżyć. Jest rzeczą znamienną dla prostolinijności sarmackiej, dla pewnego może jej prymitywizmu to właśnie, że i przez list miłosny przebija autor w otoczy swych pozamiłosnych rysów; jest pewna sarmackość w tem odrzuceniu od sztuki pisarskiej tego, coby być mogło wynikiem teoretyzowania, estetyzowania. Trzeba podkreślić tę integralność człowieka w korespondencji Sobieskiego przedewszystkiem w częściach miłosnych, czyli właśnie tam, gdzie łatwiej było odruchowi przeciwstawić ujęcie sztucznie zestetyzowane.

Zwłaszcza dwie sfery zainteresowań przebijają przez miłosne listy Sobieskiego: sfera zainteresowań gospodarskich i żołnierskich. Sobieski, zawołany gospodarz narzekający na deszcz i suszę, własną ręką sadzący drzewa i pielęgnujący kwiaty,[2] gospodarstwo nazywający „kłopotarstwem“ przenosił znakomicie pewne rysy z zainteresowań ziemiańskich w sferę miłości — w kształcie metafory czy porównań: „Dobrze ja mówię, że na moją Dobrodziejkę trzeba pogody jak na siano.“ [3] Innym razem: „I jam się przecież nie między krowami urodził.“ [4]

Podkreślony już poprzednio żywioł religijności daje w zetknięciu z tematem żołnierskim w atmosferze miłosnego wylewu takie tryskające uczuciem ujęcie, datowane z obozu „przeciwko Strigonium pod Parkanami“: „O! Jako to dobry Pan Bóg, moja jedynie kochana Marysieńku! Za małą konfuzją, dał większe zwycięstwo, niżeli pod Wiedniem.“ [5]

W partjach opowiadających te dwie sfery zainteresowań (i im pokrewne) znajdują najsilniejszy wyraz; jakie rozlubowanie się w pięknie przyrody człowieka, który kocha ją i umie na nią patrzeć bije z bezpośredniego, żywego, pełnego podpatrzeń opisu polowania i lasu:

> „Szczęścia dosyć było; sarn i zajęcy stośmy naszczwali; dzień też był ciepły dosyć, choć pochmurny. Tegom też zapomniał Wci s. m. oznajmić, że wczora w Olesku okrutnąśmy rzecz słyszeli: re, re, re! dziś zaś po lasach ptactwa rozmaitego i kwiecia, osobliwie anemonek, żółtych sosenek, miodunek, podlaszek“. [6]

Dążność do plastyki ujęcia sięga w technikę onomatopeizmu a chęć oddania bogactwa przyrody nie waha się przed pozornie sztywną i prymitywną congérie. Ten sam artyzm znajdujemy w opisach i opowiadaniach związanych z życiem żoł-

---

[1] tamże 1667, str. 123.
[2] A. Śliwiński: Jan Sobieski, str. 180.
[3] Listy z 1664, str. 1.
[4] tamże str. 237.
[5] tamże z 1688, str. 405.
[6] tamże z 1682, str. 340.

nierskiem autora. Cudny, prostolinijny patos, techniką składniową zahaczający o tradycję biblji łączy się z pulsującem życiem ujęciem rzeczywistości. Congeries już nietylko w dziedzinie przedmiotów dla skreślenia różnorodności, bogactwa wzrokowego, lecz i w dziedzinie czynności dla oddania ich tempa i złożoności. Przytaczamy fragment słynnego opisu wiktorji wiedeńskiej:

„Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony, dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały. Działa wszystkie, obóz wszystek, dostatki nieoszacowane dostały się w ręce nasze. Nieprzyjaciel, zasławszy trupem aprosze, pole i obóz, ucieka w konfuzji. Wielbłądy, muły, bydło, owce, które to miał po bokach, dopiera dziś wojska nasze brać poczynają, przy których Turków trzodami tu przed sobą pędzą: drudzy zaś, osobliwie des renegats na dobrych koniach i pięknie ubrani od nich tu do nas uciekają." [1]

W minjaturze widzimy wszystkie cechy plastyczno-patetycznego stylu Sobieskiego, np. w liście z obozu pod Żydaczowem: „Wczoraj przeszliśmy Dniestr, tak mały, że go i kura przebrnęła. Weszliśmy tu we środek rozmaitych śmierci: bo z jednej strony nieprzyjaciel, a z drugiej powietrze"...[2]

Dbałość o dokładność, o plastyczny szczegół jest ambicją Sobieskiego, który daje w swych listach takie drobiazgowe rysunki jak opis „zamku w Strygonium" [3], i takie relacje skrzące się życiem i ruchem jak zawarta w liście z roku 1671 datowanym „au camp de Bracław" [4]. Wogóle pióro Sobieskiego ma specjalny zakrój do ujmowania tematu poprzez chwyt plastyczny. Tyczy się to nietylko tematów o charakterze epickim, które się proszą zdawałoby się o takie traktowanie. Widzieliśmy już, omawiając rysy kultury francuskiej w miłości Sobieskiego, że i te rysy podobnie jak i inne przedaje często nie w formie lirycznej, o coby się prosił temat, lecz w formie epickiej. Miłość, podobnie jak ból, żal, gorycz proszą się u Sobieskiego o postawę opowiadająco-przedstawiającą.

"... Nibyś była d'accord avec Ibraim Pasza, boś mnie miljon razy bardziej poturbowała listem swym powtórnym, niżeli jego wszystkie potęgi. A tak się jeszcze zdarzyło, że mi na koniu ten list oddano, kiedy i nasze i nieprzyjacielskie do szyku wychodziło wojsko. Uważ tedy W-ć m. s. jedyne, jeżeli to nieprzyjacielowi nie wielki w tym liście przybył sukurs"? [5]

Poprostu łatwiej mu i uczucie wyrazić przedstawieniem, niż lirycznem rozchwianiem stylu. I to nawet możemy przypisać w epistolografji Sobieskiego bodaj częściowo tradycjom polskim, gdyż forma liryczna prozy do czasów Sobieskiego była rzadka, zwłaszcza w listach, a natomiast właśnie w listach zżyta była z piórem francuskiem, stwarzając zczasem taki szczyt swych możliwości, jak w listach miłosnych p. de Lespinasse.

Tak więc widzimy, że stając wobec korespondencji Sobieskiego stajemy nietylko wobec dzieła zaciekawiającego osobą autora, lecz i wobec dzieła znamiennego jako pewien produkt kulturalny i interesującego jako dzieło sztuki. Jak obserwowaliśmy, te listy są polem nietylko ścierania się w jedność czułego Celadona i gromkiego obrońcy chrześcijaństwa, lecz i polem, gdzie równocześnie wypowiedziały się dwa typy kultury w wycinku przeżyć miłosnych: kultury fran-

[1] listy 1683, str. 385.
[2] tamże 1676, str. 280.
[3] tamże 1683, str. 417.
[4] tamże 1671, str. 238.
[5] tamże 1676, str. 285.

cuskiej, której panowanie się zbliża wraz z wiekiem XVIII i dla której są one pierwszym równocześnie literackim i życiowym pomnikiem — i kultury rodzimej. Obie żyją tu w doskonałej symbiozie. Znamiennym jej rysem jest mimo pozornej agresywności francuskiego pierwiastka (bo wprowadzonego świadomem przez autora podejściem do niego) — żywotna obecność kultury polskiej, która nie dała sią wyrugować przez przybysza. Podczas gdy kultura francuska nadawała przeżyciom autora przedewszystkiem kształt, wszelką zewnętrzność, kultura polska budowała treść tych przeżyć, stanowiła ich jądro. Indywidualność autora nie dała się porwać efektowności kultury francuskiej; wyznaczał on właściwe miejsce jej lekkości i brakowi powagi w ujmowaniu zjawisk życia. Pięknu listów przysłużyły się obie. Sam ich stop dał tej korespondencji piękno oryginalności, pewnej nęcącej wrażliwość czytelnika dwupłaszczyznowości.

Kultura francuska zadecydowała o istnieniu tych bogatych listów miłosnych a w każdym razie o ich atmosferze miłosnej, dalej o subtelności w ustaleniu i nakreśleniu dwornego stosunku mężczyzny do ukochanej kobiety, o dokładnej analizie miłości w listach, we wszechstronności jej odcieni i żywiole jej jedyności i napięcia. Ona przepoiła je wdziękiem życia salonowego i czułej obrzędowości miłosnej.

Polska zaś kultura dała jej granitowe podwaliny rzeczy pojętej najbardziej na serjo, poważnej i mocnej jako i samo małżeństwo, które stworzyła: wierność i jednolitość, a także obowiązkowość, przeciwstawiła salonowej powierzchowności i lekkości. Pozwoliła przedewszystkiem, że miłosność kultury francuskiej nie zatarła w miłosnym liście oblicza pełnego człowieka w całej szerokości jego zainteresowań i odczuwań; nie uznając maskowania i teoretyzowania stawiła nam przed oczy autora jako żołnierza, gospodarza, człowieka religijnego i rodzinnego. Ponadto w cieplarnianą atmosferę salonu wniosła rubaszność żartu i czułości oraz prymitywną jędrność obserwacji, na której opiera się ciekawa plastyka wypowiedzeń Sobieskiego, nietylko w partjach epicznych, lecz i lirycznych.

Mimo, że, jak powiada historja, Marysieńka w codziennem życiu spełniała wobec króla rolę Dalili — to przecież literatura może jej być wdzięczna za te listy, których była przyczyną, natchnieniem i wierną lektorką: nietylko przez to, że i s t n i a ł a, ale że była taką j a k ą b y ł a w swych czułościach i kaprysach, w swej zmienności i skłonności do częstych odlotów od boku męża — a nadewszystko swym odrębnym a przyciągającym typie kulturalnym, który w odblasku sarmackiej psychiki jej męża miał wydać ciekawy amalgamat tej korespondencji.

Gdzie jak gdzie, ale w każdym razie na tem polu, na polu wyrazu kulturalno-literackiego, można przytaknąć królowi, gdy zapewnia, że jego miłość nie przyniosła szkody jego własnym możliwościom, lecz przeciwnie wsparła je i wzniosła.[1]

Łódź. *Stefanja Skwarczyńska.*

---

[1] Po zwycięstwie wiedeńskiem, aby położyć kres niemiłym plotkom, układa list nibyto pisany przez jakiegoś Francuza do pana Du Vernay: „Le roi de Pologne, a-t-il perdu dans cette grande fameuse journée, quelque chose de son courage, de sa conduite, ou de sa bravoure ordinaire a cause de ce grand vol de Vilanov et de cet embrassement, des caresses et des cheveux de la Reine, comme tu a faussement mandé et malicieusement?". (Listy z 1683, str. 435).

ZE STUDJÓW NAD SOWIZDRZAŁEM

Powieść o Sowizdrzale jest szeroko znana w literaturze ogólno-europejskiej i cieszy się wielkiem wzięciem wśród warstw ludowych. O żywotności Sowizdrzała świadczą stale ukazające się nowe wydania w Polsce i zagranicą. Śledząc dzieje tej powieści, zauważyć możemy dwa okresy jej niezwykłej popularności. Pierwszy przypada na lata około 1510—1550, drugi na wiek XIX. Około roku 1510 powstała, napisana w języku dolno-niemieckim, powieść o Ulenspieglu-Sowizdrzale (nazwanym Eulenspieglem dopiero w połowie XVI w.). Już ok. 1510 r. pojawia się drukiem w Strasburgu — nieodszukany do dziś — przekład na język górnoniemiecki. Na tekście tym oparły się wszystkie późniejsze tłumaczenia. Z XVI wieku pochodzi przekład polski, angielski, flamandzki, francuski, duński, łaciński, czeski; z późniejszego okresu pochodzą tłumaczenia: rosyjskie (za pośrednictwem przekładu polskiego), hiszpańskie, włoskie, szwedzkie, hebrajskie i t. d. Każdy przekład doczekał się szeregu wydań (samych polskich edycyj jest przeszło 50!). Świadczy to o niezwykłem rozpowszechnieniu się powieści o Sowizdrzale.

Na wiek XIX przypada drugi okres wielkiej popularności tej postaci. Nie znaczy to, by w wieku XVII i XVIII Sowizdrzał był nieznany, jednakże większą żywotność wykazał znowu w stuleciu XIX. Sowizdrzałem zainteresowali się w tym okresie uczeni i bibljofile. Zaczęli gorliwie gromadzić i inwentaryzować ocalałe wydania i teksty. Sowizdrzał staje się przedmiotem badań naukowych [1].

Przyznać trzeba, że studja przeprowadzone w Niemczech nie rozwiązały jeszcze wszystkich problemów, odnoszących się do Ulenspiegla, choć badania te trwają już prawie cały wiek. Pokazało się, że dzieje powieści o Sowizdrzale należą do najciekawszych bodaj ze wszystkich powieści ludowych [2]. Uczeni niemieccy zajęli się przedewszystkiem problemem historyczności tej postaci. Pierwszy Lappenberg zbadał [3] wszystkie zabytki, które miały jakikolwiek związek z Ulenspieglem. Pokazało się jednak, wbrew zdaniu Lappenberga, że zabytki te nie pochodzą z tego wieku (XIV), w którym miał żyć Sowizdrzał. Wszystkie powstały później, wtedy, kiedy Ulenspiegel był już szeroko znany. Nie mogą więc być dowodem historyczności tej postaci. Brunszwickie zapiski archiwalne wymieniają coprawda kilkakrotnie nazwisko Ulenspiegel [4], trudno jednakże stwierdzić, czy jest to właśnie bohater naszej powieści, lub jego krewni. Przypuszczać można, że osoba o tem nazwisku wykonała szereg figlów i „kawałów". Z biegiem czasu uzyskała pewien rozgłos. Stopniowo zaczęto jej przypisywać coraz to nowe „kawały", których już Ulenspiegel nie wykonał. W końcu zebrano wszystkie krążące o Sowizdrzale anegdoty, dodano nowe i po pewnem dość powierzchownem uporządkowaniu utworzono z nich znaną nam dziś powieść o Ulenspieglu. Znaczeniem nazwiska Ulenspiegel zajął się Jeep [5]. Stwierdził, że jest to nazwa o charakterze imperatywnym. Ul(d)en spiegel znaczyło tyle co „verre podicem". Pierwotne, szydercze znaczenie tej nazwy zaczęło się stopniowo zacierać. Przyczynili się do tego walnie ilustratorzy Sowizdrzała, którzy tłumaczyli ją jako złożoną z ule-sowa i spiegel-zwierciadło.

---

[1] Edward Schröder: Geleitwort zur Facsimilien-Ausgabe des strassburger Textes von 1515. Leipzig 1911, s. 3.

[2] Jak wyżej.

[3] Dr. Thomas Murners: Ulenspiegel. Lipsk 1854, s. 317—340.

[4] Ernst Jeep: Eulenspiegel. Mitteilungen aus dem Zweigverein des allgemeinen deutschen Sprachvereins. Berlin 1895, nr. 8, s. 127; oraz Lappenberg op. c., s. 342—343.

[5] op. c., s. 120.

Lappenberg [1] uważał za autora tekstu górno-niemieckiego franciszkanina Tomasza Murnera. Skoro jednak okazało się, że tekst ten jest tylko przekładem, a nie oryginałem, sprawa autorstwa Murnera upadła. Również późniejsza hipoteza Walthera [2], że autorem oryginału dolno-niemieckiego jest Hermann Bote, nie utrzymała się [3]. Zaczęły się dociekania na temat, kto był tłumaczem oryginału na język górno-niemiecki. Nie był nim — jak wykazano — Tomasz Murner [4], ani Jan Pauli [5]. Osoba tłumacza pozostanie na długo jeszcze zagadką, nęcącą badaczy. Dalszym wynikiem badań było ustalenie kolejności i stopnia wzajemnej zależności poszczególnych wydań niemieckich.

W Polsce zaczęto się interesować Sowizdrzałem dość wcześnie [6]. Wśród badaczy najwięcej zasłużyli się koło Sowizdrzała: Maciejowski, Brückner, Badecki, Piekarski i Krzyżanowski. Badecki zinwentaryzował dochowane do naszych czasów wydania staropolskie [7]. Natomiast wydań XIX i XX-wiecznych nikt dotychczas nie zarejestrował. Czynię to w osobnej pracy.

Z połowy XVI wieku zachowały się drobne fragmenty wydania, tłoczonego czcionkami Hieronima Wietora [8]. Są to nikłe urywki opowiadania 2, 3 i 4 historji [9] o Sowizdrzale. Znajdują się one w Bibljotece Jagiellońskiej w Krakowie. Interesującym jest fakt, że Sowizdrzał nazywa się tu Sownociardłkiem. Piekarski, który te fragmenty odkrył, opierając się na czeskiem brzmieniu tej nazwy, postawił hipotezę, że tłumaczenie polskie opiera się na tekscie czeskim. Pogląd ten nie da się utrzymać [10], gdyż przekład czeski opiera się na t. zw. wydaniu frankfurckiem z ca. 1557—1563. Tekst czeski jest więc znacznie młodszy od polskiego.

Dalszy dochowany fragment pochodzi najwcześniej z drugiej połowy 1561 roku. Znajduje się również w Bibljotece Jagiellońskiej. Zachował się w postaci bardzo słabego nadruku na kalendarzu na rok 1562. Piekarski [11] uważał tekst Sowizdrzała za poddruk, tymczasem rzecz ma się odwrotnie: kalendarz jest poddrukiem, a Sowizdrzał nadrukiem. W związku z tem należy zmienić chronologję tego fragmentu i ustalić datę wykonania nadruku najwcześniej na drugą połowę 1561 r. Oprócz urywków 41, 43, 44 i 45 historji zachowały się ślady dwu drzeworytów. Jeden z nich to ilustracja do anegdoty 39. Jest to nowa i nieobojętna pozycja w szczupłym zapasie dochowanych do naszych czasów drzeworytów Sowizdrzała z XVI wieku.

Odkryty przez St. Kota w Bibljotece Bodlejańskiej w Oxfordzie w roku 1934 tekst był nam znany dotychczas tylko z opisu Maciejowskiego [12]. Egzemplarz

---

[1] op. c., s. 384—387.

[2] Chr. Walther: Zur Geschichte des Volksbuches vom Eulenspiegel. Jahrbuch des Vereins für niederdeutsche Sprachforschung. Norden. Bd. 19. 1893, s. 79.

[3] Schröder, op. c., s. 29.

[4] Heinrich Lemcke: Der hochdeutsche Eulenspiegel. Bonn 1908. (Diss. Freiburg), s. 32—41.

[5] Lemcke, op. c., s. 45, 62, 68, 76 dowodzi, że tłumaczem był Pauli, na co nie zgadza się Schröder, op. c., s. 39.

[6] Por. artykuł w Przyjacielu Ludu z roku 1838 (s. 47—48), — pracę W. A. Maciejowskiego: Sowizdrzał i Twardowski (Bibl. Warsz. 1841, t. 3, s. 1—19) i t. d. Dalsze pozycje zob. w Literaturze mieszczańskiej Badeckiego, Lwów 1925, s. 355—360.

[7] W pracy p. tyt.: Literatura mieszczańska w Polsce XVII wieku. Monografja bibljograficzna. Lwów 1925.

[8] Fragmenty te opublikował Piekarski w Exlibrisie 1924, zesz. 5, wraz z reprodukcją szczątków. Podał je również Badecki op. c., fig. 196—199.

[9] Stosuję numerację anegdot podaną przez Badeckiego (op. c., s. 348—351). Do opowiadań niemieckich, nie posiadających odpowiedników w edycjach staropolskich Sowizdrzała, stosuję numerację rzymską.

[10] Por. sprzeciw Brücknera w Zeitschrift für slavische Philologie. 1925, s. 261 n.

[11] Pogląd Piekarskiego podaje Badecki op. c., s. 501.

[12] Maciejowski: Piśmiennictwo polskie, Warszawa 1852, t. III, s. 172—3.

ten pochodzi z bibljoteki Józefa Łukaszewicza z Poznania, który sprzedał go wraz z częścią swego księgozbioru do Anglji. Jest to egzemplarz niekompletny [1]. Brak mu karty tytułowej oraz końca, gdyż tekst urywa się na anegdocie 79, z której znowu brak zakończenia. Defekt ten niema również karty I_8 oraz K_1. Zawierały one anegdoty 71 (z której zachował się tylko tytuł na karcie I_{7v}), 72 i 73. Do opowiadania 74 brak tytułu. Ogółem zachowało się w całości anegdot 73 (t. zn. historje 1—69, 75—78), dalej opowiadanie 74, które nie posiada tytułu, oraz anegdota 79, gdzie brak zakończenia. Widzimy więc, że jest to wcale obszerny defekt, zawierający przeszło $^3/_4$ anegdot, znajdujących się w najstarszym kompletnym polskim tekscie. W egzemplarzu oxfordzkim brak ogółem 21 opowiadań, wliczając w tę cyfrę anegdotę 71, z której zachował się tylko tytuł. Następny co do chronologji tekst, to fragment odkryty przez Piekarskiego w Bibljotece Jagiellońskiej. Przedrukował go J. Krzyżanowski w księdze pamiątkowej „Ignacemu Chrzanowskiemu Uczniowie Lubliniacy", Lublin 1926. Obejmuje on mniejsze lub większe urywki 28 opowiadań Sowizdrzała. Układ anegdot jest inny, niż w reszcie dochowanych egzemplarzy. W każdym razie podobnego układu nie ma żadne znane mi starsze wydanie niemieckie. Co do chronologji następnych dochowanych tekstów — to kolejność ustalona przez Krzyżanowskiego jest trafna. Po wyżej omówionym fragmencie (skrót A) następuje „edycja B (u Badeckiego Nr. 138, egz.: w Ossolineum sygn. 16 144, Krasińskich 30 310 zdefektowany); edycja C (u Bad. Nr. 136, egz. Baworowskich Nr. 2707, defekt w bibl. J. Michalskiego); edycja D (u Bad. Nr. 137, egz. Pawlikowskich Nr. 4499); edycja E (egz. w Bibl. Jag. syg. Cym. X. D. 52)" [2]. Teksty A oraz B pochodzą z XVII wieku, następne z XVIII. Co się tyczy tekstu E, zaznaczyć należy, że brak mu 6 anegdot i to: 79, 80, 83, 87, 88, 92.

W Bibljotece Jagiellońskiej w Krakowie znajduje się dalsza, nieznana dotychczas edycja, pochodząca z drugiej połowy XVIII w. Jest to defekt (sygn. 222 011 I), któremu brak karty tytułowej, oraz kart A_{1-8} i B_1. Wydawcy opuścili tu 5 anegdot (nr. 79, 80, 83, 87, 88).

Na uwagę zasługuje jeszcze opowieść o Sowizdrzale, która ukazała się pod następującym tytułem: K u l h a w i e c, cały w żartach z niemieckiego. Lipsk 1786, s. 56, mała ósemka. Poszczególne anegdoty sowizdrzalskie ujęto krócej, zmieniając gdzieniegdzie treść opowiadań. Całość dzieli się na 22 rozdziały [3].

Wśród dochowanych tekstów polskich wyodrębnić można dwie grupy: starszą i młodszą. Do pierwszej należy fragment z połowy XVI wieku, nadruk na kalendarzu na rok 1562, defekt oxfordzki, tekst A i B. Do drugiej zaliczam edycje C, D, E. Dochowane teksty z XVII i XVIII stulecia genezą swą sięgają połowy XVI wieku i tworzą z najstarszemi dochowanemi fragmentami z XVI w. jedną całość, choć każde wydanie posiada pewne odrębności. Niema więc mowy o dwóch przekładach Sowizdrzała, najpierw z czeskiego, potem z niemieckiego. Istniało tylko jedno tłumaczenie z niemieckiego, które jest podstawą wszystkich dochowanych edycyj polskich [4].

---

[1] P. Prof. Juljanowi Krzyżanowskiemu składam uprzejme podziękowanie za wypożyczenie mi odbitek fotograficznych tego tekstu.

[2] Krzyżanowski J.: Z dziejów „Sowizdrzała" w Polsce. Księga pamiątkowa „Ignacemu Chrzanowskiemu Uczniowie Lubliniacy", s. 91.

[3] Egz. w bibljotece Jana Michalskiego w Warszawie.

[4] J. Miśkowiak: Z dziejów powieści o Sowizdrzale. Sprawozdania Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk 1934, s. 79.

Porównanie tekstów polskich z najstarszemi dochowanemi niemieckiemi z roku 1515 i 1519 wykazało, że im starszy tekst polski tem więcej zbliża się w stylizacji do wspomnianych wydań niemieckich. Zauważyć przytem można ciekawy fakt, że raz przekład polski jest miejscami wprost niewolniczym tłumaczeniem wydania z 1515, to znów edycji z r. 1519. Częstokroć jedno zdanie polskie podaje w pierwszej części wersję tekstu 1515, w drugiej zaś idzie za wydaniem z r. 1519, lub odwrotnie. Schröder[1] stwierdza, że edycja 1519 nie jest prostym przedrukiem wydania z 1515. Oba teksty opierają się samodzielnie i niezależnie od siebie na nieodszukanem dotychczas wydaniu strasburskiem z ok. 1510 r. Owe ciekawe i zastanawiające zbieżności tekstowe wyjaśni najprościej przypuszczenie, że tłumacz polski miał przed sobą właśnie owo wydanie z ok. 1510. Teksty niemieckie 1515 i 1519 wystylizowały sobie — opierając się na wydaniu z ok. 1510 — szereg zdań odrębnie, czego tekst polski nie uczynił.

Przekład polski był pierwotnie wierny. Trzymał się niewolniczo swego wzoru. Tłumacz nie nazywa wszystkiego — jak tekst niemiecki — prosto z mostu, lecz wyraża się oględniej i łagodzi ostrość wyrażeń pierwowzoru. Podziwiać należy nieraz inwencję tłumacza w wyszukiwaniu coraz to nowych wyrażeń dla czynności bardzo drastycznych. W szeregu wypadków zatraca tłumacz grę słów. Nie wiadomo czy tłumacz opuścił jakie anegdoty, gdyż co do pewnych opuszczeń jeszcze i dziś stwierdzić możemy, że dokonano ich później. Jeżeli przeczytamy uważnie tytuł polskich tekstów, spostrzeżemy następujący zwrot: „Sowiźrzał Krotofilny y Śmieszny. Vrodzenie, żywot, postępki y d o k o n a n i e i e g o d ź i w n e", jednakże w samym tekście nie spotykamy nic tak osobliwego, by móc powiedzieć, że d o k o n a n i e t. j. śmierć Sowizdrzała była d z i w n a. Skoro jednak uwzględnimy wydania niemieckie, to przekonujemy się, że d o k o n a n i e Ulenspiegla było naprawdę dziwne. Po sporządzeniu testamentu Sowizdrzał umiera, i zostaje pogrzebany. Oszukany testamentem proboszcz, radni i przyjaciele chcą wykopać ciało jego z grobu, w którym Sowizdrzał spoczywał już od czterech tygodni. Wobec tego, że zwłoki jego były już w stanie rozkładu, zaniechano tego. Jednakże w dwóch następnych anegdotach odbywa się drugi pogrzeb Sowizdrzała. Trumnę jego przewracają świnie, liny przy spuszczaniu zwłok się zrywają, i Ulenspiegel został pochowany w pozycji stojącej. Oto całe naprawdę d z i w n e d o k o n a n i e. Tytuł przekładu polskiego zdradza nam, że w pierwotnym tekście polskim sceny te się znajdowały. Jednakże wydawca, chcąc uniknąć niekonsekwencyj tekstu niemieckiego, opuszcza poprostu kilka anegdot, prawiących o powtórnym pogrzebie Sowizdrzała i w ten sposób stwarza logiczne i dobre zakończenie. Usuwając z tekstu kilka opowiadań, nie usunął odpowiedniego zwrotu z tytułu, dzięki czemu i dziś jeszcze, po kilku wiekach, możemy zmiany te zarejestrować. Niewiadomo czy wydawcy, czy też już tłumacz opuścili kilka drastycznych i plugawych anegdot. Wspomniany tekst E wykazuje dalsze ślady pracy wydawców. Opuścili tam bowiem sześć dalszych opowiadań: nr. 79, 80, 83, 87, 88, 92. Nie oszczędzono i układu (kolejności) anegdot. Jak wykazuje tekst A, przestawiono kilka opowiadań. Tłumacz lub wydawca dodał również sześciowiersz: Do czytelnika. Wydawcy wprowadzili zgrabniejszą nazwę Sowiźrzał, zarzucając pierwotną Sownociardłko. Starsze formy językowe, oraz wyrażenia archaiczne zastępowano stopniowo nowszemi.

Dochowane teksty polskie nie dają nam więc jasnego pojęcia o tem, jak wyglądał pierwotny przekład. Szereg danych wskazuje wyraźnie na to, że za-

[1] op. c., s. 20.

chowane wydania odbiegają dość znacznie od oryginału tłumaczenia. Nie wiemy również, ile opowiadań posiadało pierwotne tłumaczenie, czy był to przekład kompletny, czy też już oryginał posiadał jakie opuszczenia.

Przekład polski liczy 95 anegdot, w których zawarta jest treść 96 opowiadań edycyj niemieckich. Teksty z r. 1515 i 1519 posiadają tylko 95 anegdot, chociaż karta tytułowa głosi, że jest ich 96, a to wskutek błędu w numeracji. Widzimy więc, że tekst polski posiada o jedno opowiadanie więcej od tych dwóch edycyj niemieckich. Rozpatrując anegdotę za anegdotą, stwierdzamy, że tylko 89 historyj jest w tekstach polskich i niemieckich z r. 1515 i 1519 równobrzmiących. Spostrzegamy również, że wspomniane wydania niemieckie posiadają 6 anegdot, których w polskim tekście nie ma. Są to anegdoty: XXXI, LXXIX, LXXXVIII, XCII, XCIV i XCV. Naodwrót znowu wydania polskie mają 7 dodatkowych opowiadań, których niema w edycjach strasburskich z r. 1515 i 1519. Są to anegdoty: 85, 86, 87, 90, 91, 92. Widzimy więc, że wspomniane wydania niemieckie nie mogą być tekstami, na których opierał się tłumacz polski. Wspomniałem już wyżej, że przekład nasz opiera się prawdopodobnie na nieodszukanej dotychczas edycji niemieckiej z ok. 1510. Niewiadomo, czy wydanie to posiadało owe dodatkowe historje, czy nie. W każdym razie odszukano[1] niedawno temu nową, nieznaną edycję strasburską z r. 1531, która posiada te dodatkowe historje. Dotychczas wiedziano, że dodatkowe te anegdoty występują po raz pierwszy w wydaniu erfurckiem z 1532. Z tego to też powodu wydanie to zajmowało poważne stanowisko wśród najstarszych tekstów niemieckich. Obecnie — jak wykazuje Schröder[2] — rola jego zredukowała się do zwykłego przedruku wspomnianej edycji strasburskiej z 1531. Przyjąć musimy, że tłumacz polski korzystał z tego wydania, wybierając z niego kilka dodatkowych anegdot.

Najstarsze znane mi wydanie Sowizdrzała z XIX wieku ukazało się w Grudziądzu przed rokiem 1844[3]. Ogółem udało się stwierdzić istnienie 40 wydań XIX- i XX-wiecznych. Okazuje się, że z tego okresu posiadamy największą liczbę edycyj Sowizdrzała. Przypuszczać należy, że dalsze poszukiwania odkryją jeszcze niejedno nieznane nam wydanie z tego wieku. Teksty te były przeznaczone dla ludu, wobec tego szata zewnętrzna (papier, druk i t. d.) jest bardzo licha. Język i styl niedbały. Część wydań jest bogato ilustrowana (edycje brodnickie, chełmińskie; wydanie wrocławskie posiada 8 ilustracyj). W Warszawie ukazało się ogółem 19 edycyj; w Poznaniu 5; w Brodnicy 4; w Chełmnie 3; w Cieszynie 3; w Grudziądzu, Wrocławiu, Szamotułach, Berlinie, Monachjum i Chicago wydrukowano po jednem wydaniu. W wydaniach XIX i XX wieku akcję zlokalizowano przeważnie w Polsce. Teksty te nie stanowią kontynuacji wydań staropolskich, gdyż w tym okresie przełożono Sowizdrzała po raz wtóry z języka niemieckiego na polski. Jedynie wydanie wrocławskie z roku 1847 posiada sześciowiersz: Do czytelnika, przejęty z edycyj XVIII-wiecznych. Zaznaczyć warto, że tekst wrocławski odbija się dodatnio od innych wydań tego wieku. Wszystkie wydania, z wyjątkiem wrocławskiego i parafrazy Tuczyńskiego, umieszczają na czele każdej anegdoty wierszyk, który podaje treść opowiadania. Rymy są tu bardzo prymitywne i nieudolne.

Na specjalną uwagę zasługuje przeróbka Franciszka Xawerego Tuczyńskiego, która ukazała się pod tyt.: „Kasper Pokraka czyli Sowizdrzał Polski, zbiór

[1] Edward Schröder: Ein unbekannter Eulenspiegel-Druck. Zeitschrift für deutsches Altertum und deutsche Literatur. Bd. 70. 1933, s. 273—279.

[2] Jak wyżej, s. 277.

[3] Karol Estreicher: Bibljografja polska 1870, t. 1, s. 49, oraz 1875, t. 3, s. 36.

różnych zabawnych przygód". Poznań 1879. Do tytułu dalszych wydań dodano: „żywot największego figlarza, jaki żył na Bożym świecie". Tuczyński posiada wybitny talent literacki, umie zajmująco i z humorem opowiadać. Należy do najznakomitszych pisarzy ludowych wielkopolskich. Akcję lokalizuje w Polsce, a przedewszystkiem w Wielkopolsce. Do przeróbki swej wprowadza wiele typów rodzimych i miejscowych (żydów, chłopów, bamberki, dziadów wędrownych i t. d.). Włada świetnie dialogiem, dzięki czemu ożywia znacznie akcję. Język jego zatrąca często językiem ludowym. Postacie umie dobrze uchwycić i przedstawić. Na treść składają się nietylko anegdoty z Sowizdrzała w liczbie 33, lecz również szereg arcyzabawnych opowiadań o Żydach. Dodał tu Tuczyński także 3 historje przejęte z zbioru anegdot Józefa Chociszewskiego: „Polski Sowizdrzał". (Poznań 1878. 1879. 1885. 1889. 1899). Postać Sowizdrzała uległa pewnej transformacji. Jest on tu człowiekiem bywałym, który niejedno przeżył i niemało świata przewędrował. Opowiada niejednokrotnie o swoich niewiarogodnych wprost przygodach i podróżach. Przypomina w tych chwilach popularną na zachodzie, a zwłaszcza w Niemczech, postać barona von Münchhausena. I rzeczywiście badania wykazały, że Tuczyński przejął do swojego Sowizdrzała znaczną liczbę anegdot z Münchhausena. Wszystkie te, z różnych zebrane źródeł (Sowizdrzał, Münchhausen, Chociszewski...) opowiadania stopił Tuczyński w jedną bardzo udatną całość, dzięki czemu uzyskaliśmy nowego właściwie Sowizdrzała. Wszystkie drastyczne opowiadania z Eulenspiegla opuszczono. Przeróbka Tuczyńskiego jest najlepszym pod względem literackim tekstem XIX-wiecznym Sowizdrzała. Cieszył się on wielką wziętością, o czem świadczy 6 wydań (Poznań 1878. 1879. 1885. 1889 i 2 wydania w r. 1900), oraz skrót z r. 1925 pod tyt.: Figle Kaspra Sowizdrzała. Poznań 1925, w wydawnictwie: Jestem dla Ciebie nr. 3.

„Sowizdrzał wywarł pewien, bliżej niezbadany wpływ, na literaturę polską. Żaden inny romans staropolski nie pozostawił po sobie tylu oddźwięków w literaturze naszej, co Sowizdrzał właśnie, żaden nie wykazuje takiej żywotności w bajkach ludowych, żaden wreszcie nie odcisnął swego piętna w tym stopniu na języku, na jego zwrotach i wyrażeniach przysłowiowych[1]". Wpływ Sowizdrzała wykazuje także t. zw. literatura sowizdrzalska, „koncepty Sowizdrzała przewijają się raz po raz w pismach takich Rejów, Kochanowskich, Górnickich, Potockich, czego właśnie o żadnym innym romansie staropolskim stwierdzić nie możemy. Dopiero więc fakt ten, dodany do zaznaczonych wyżej, pozwala nam wpływy Sowizdrzała ująć w całej ich, bardzo obszernej rozpiętości"[2].

Niestety brak nam dotychczas krytycznego wydania tekstu polskiego Sowizdrzała. Nie posiadamy również k o m p l e t n e g o przekładu Eulenspiegla, gdyż dochowane edycje podają tylko w y b ó r opowiadań o Sowizdrzale.

---

[1] Juljan Krzyżanowski: Z dziejów „Sowizdrzała" w Polsce. Księga pamiątkowa „Ignacemu Chrzanowskiemu Uczniowie Lubliniacy", Lublin 1926, s. 90. Porównaj także to, co pisze Krzyżanowski w „Romansie polskim XVI wieku". Lublin 1934, s. 167—170.

[2] Krzyżanowski: Z dziejów „Sowizdrzała" w Polsce, s. 90. O pewnych dalszych wpływach świadczyć mogą czasopisma, ukazujące się p. tyt.: Sowiźrzał (Lwów 1865), lub Sowizdrzał (Warszawa, ukazujące się i obecnie); dalej zbiorki anegdot Chociszewskiego (Poznań 1878. 1879. 1885. 1889. 1899), oraz Nyrtyca (Warszawa b. r. Wydawnictwo „Książki ludowe" nr. 24). We Lwowie wydano Noworocznik „Sowiźrzała" na rok 1866.

Powieść Karola de Coster: Legende d'Ulenspiegel z r. 1867 doczekała się przekładu na język polski (umieszczono go w warszawskim tygodniku literacko-artystycznym: Wędrowiec R. 40, 1902, s. 16—17, oraz zeszyty następne p. tyt.: Legenda o Sowizdrzale — por.: Badecki op. c., s. 359). W r. 1914 i 1922 ukazał się dalszy (niekompletny) przekład, dokonany przez Przecława Smolika (Czesława Wrockiego).

Sowizdrzał doczekał się w Polsce wielkiej popularności. Świadczy o tem — między innemi — liczba 53 przedruków na przestrzeni XVI—XX wieku. Na stulecie XVI—XVIII przypada 13 wydań, na wiek XIX i XX aż 40! Dalsze poszukiwania odkryją niewątpliwie nowe wydania.[1]

Poznań. *Jan Miśkowiak.*

NAD TRUMNĄ WITKIEWICZA

Ktokolwiek z mieszkających w tym cichym podhalańskim ustroniu Polski oderwie się choć na chwilę od tej właśnie może i obojętność stwarzającej ciszy, tego nie opuści jedno przedewszystkiem wrażenie: jak ciężka mgła jesienna przytłoczy go atmosfera śmierci, która w tak nieubłagany sposób pochłania tysiące naszych braci, która, jak gdyby na urągowisko prawom życia, przerzedza szereg najbardziej krzepkich, najbardziej do życia zdolnych, najbardziej do życia przystosowanych pracowników.

Niezliczonymi pokosami kładzie na łanie naszym ten wielki, bezlitosny, w kosę i klepsydrę zbrojny kościotrup swoje ofiary, a iżby nieoszczędzić nam żadnej już kropli goryczy, iżby tę ogólną żałobę naszą do ostatecznych doprowadzić granic, wszelkiego pozbawić nas promienia, nie zadawala się masowem uśmiercaniem mniej lub więcej pospolitych, lecz pożytecznych i tem samem niezbędnych wyznawców życia, jeno od czasu do czasu sięga jeszcze po tych, którzy genjuszem swoim, którzy pracą swoją, wychodzącą poza codzienną pospolitość, wypełniali i rozszerzali to życie, którzy życia tego nowe, w zadatki niezwykłej, niepospolitej przyszłości płodne stwarzali formy. Jednym z takich właśnie rozszerzycieli życia, jednym z takich właśnie tworzycieli nowych warunków życia i to, dodajmy od razu, życia polskiego był człowiek, którego śmiertelne szczątki w tej oto trumnie powierzamy łonu ziemi ojczystej.

Nie był znakomitym mężem stanu, strzegącym interesów narodu w drodze rozumnych kalkulacyj, nie był wodzem rozgłośnym, uciekającym się do bohaterstwa i krwi narodu, by zapomocą tych środków potężnych w dobranej odpowiednio chwili nietylko bronić od zagłady, ale umacniać fundamenty i ściany, wiązadła i pokrywy narodowej budowy, nie był z gildy wielkich przemysłowców czy kupców, którzy zdala od celów samolubnych, bogate gromadzą skarby, ażeby wypełnić budowę tę dla użytku wszystkich: był tylko polskim artystą, polskim pisarzem. Ale to mu wystarczało i nam wystarcza, a wystarczało i wystarcza dlatego, ponieważ pracując na niwie, ku której popchnął go dany mu od Boga pęd wewnętrzny, jedną niezbitą kierował się prawdą, jedną niewzruszoną i niewzruszalną świadomością, że owoce twórczego natchnienia w dziedzinie literatury i sztuki są takiem samem dobrem narodowem jak czujność miłością ojczyzny przejętego dyplomaty, jak zwycięstwo na oku mająca strategja wojownika, jak te czy owe zabiegi o materjalne korzyści społeczne.

Taką przypisując wagę obrazowi czy pieśni, dziełom rzeźbiarskim czy muzycznym, wiedział zmarły i to jeszcze: iż dzieła te jedynie wówczas prawdziwie twórczą, odradzającą i umacniającą dla narodu mieć będą siłę, jeżeli poić i karmić się będą z nieśmiertelnych zasobów, złożonych w niewyczerpanych głębiach ziemi ojczystej.

[1] Artykuł niniejszy jest streszczeniem kilku rozdziałów pracy napisanej w seminarjum prof. R. Pollaka.

Był czas, *kiedy rodzinne źródła natchnień ograniczał — obawiał się, ażeby pewne tematy nie sprowadziły istotnego patrjotycznego uczucia do płytkiego patrjotycznego frazesu w sztuce, w późniejszych jednak świetnych monografjach pozostawił twórcom nieskrępowaną niczem swobodę w wyborze tych źródeł.* Wiedział, że pod tchnieniem twórców prawdziwych, a o takich tylko chodzić nam może, nic się nie spłaszczy, nic nie spospolicieje, bez względu na to, czy za temat obiorą, sobie złoty łan zbóż ojczystych, krzepkie kształty ojczystego dębu, szum rzeki ojczystej, wnętrze kościoła, pałacu czy chaty, biednych wyrobników dzisiejszych czy husarskiemi skrzydłami potrząsających rycerzy z górnych epok minionych, szmat życia dzisiejszego na glebie czy w fabryce, czy też bitewny ruch i pogwar na historycznych polach chwały...

Los szczęśliwy pozwolił mi kilkakrotnie zetknąć się z Zmarłym: wracałem zawsze pod wrażeniem, wydaje mi się, niemylnem, że i w stosunkach prywatnych prawdziwym był artystą, człowiekiem skromnym i prostym. Wrażenie to spotęgowało się jeszcze, kiedym przeczytał jego transpozycje legend franciszkańskich na język góralski.

Od chwili tej stała i stoi przede mną postać, mimo wielkości duszy maluczka, mimo wzniosłości duszy pokorna. Pokorna i maluczka dla tego, ponieważ miała świadomość otaczającego ją ogromu świata i powszechnego życia, postać przepojona ukochaniem tworów tego świata i tego życia, ukochaniem wszystkich, choćby najlichszych współbraci.

Nie wiem, jak w tym przełomie i rozłamie dni dzisiejszych zapatrywał się Zmarły na środki i drogi, jakimi posługujemy się czy posługiwać się pragniemy dla osiągnięcia najdroższego celu, byłoby to dla mnie zresztą obojętnem, gdybym nawet wiedział: wiem tylko jedno i wobec tego majestatu śmierci wszyscy to jedno wiedzieć powinniśmy: że umarł niepospolitej miary obywatel, Polak i że celem Zmarłego był cel nas wszystkich.

Nie danem mu było doczekać się chwili, w której rozstrzygną się losy narodu. Nie można przecież sądzić, ażeby to zrządzenie Opatrzności było dla duszy tego pokroju czemś istotnie tragicznem. Witkiewicz miał wiarę w siły i żywotność tak ukochanego przez siebie narodu, ta wiara też towarzyszyła mu niewątpliwie w ostatniej jego godzinie, ta wiara musiała też zagórować nad niedającą się już ziścić żądzą tak bardzo już osobistego, największego szczęścia, jakie biednego człowieka spotkać może, aby mianowicie na własne, materjalne oczy wyzwoloną zobaczyć Ojczyznę.

A teraz do was, tak zresztą nielicznie zgromadzonych przy smutnym obrzędzie tym, przedstawiciele ludu Podhala. Nie wszyscy może zdawaliście sobie sprawę, kim był ten żyjący pomiędzy wami „Witkowic". W płonej przemieszkiwał chacie, nie świecił orderami, worka nie miał wypchanego złotem, był człowiekiem prawie ubogim, a przecież jednym z najpierwszych w narodzie. Kochał was i waszą grzędę, z sztuki waszej uczynił hasło odrodzenia sztuki polskiej wogóle, prosty dom wasz góralski wybrał sobie za wzór zdobnych, okazałych dworzyszczy.

Tatry wasze były dlań obrazem niezniszczalności życia naszej wspólnej Polski.

Zmarł na obczyźnie, dokąd dla ratowania skołatanego zdrowia udać się musiał, ale spocznie między kośćmi ojców waszych i tutaj spoczywać będzie, na tem, czy na innem miejscu, jednakże w obrębie waszej dziedziny. Waszym też i pokoleń waszych będzie obowiązkiem wdzięczną grób ten otaczać miłością i strzec go po wieki.

Jan Kasprowicz.

Podczas najsroższej zawieruchy wojennej — 5 września 1915 r. — umarł Witkiewicz na obczyźnie, w Lowranie; ostatniem jego życzeniem było spocząć na ojczystej ziemi, w cieniu ukochanych Tatr. Wśród licznie zgromadzonej wówczas w Zakopanem elity artystycznej i naukowej z całej Polski, zorganizowano Komitet, który miał się zająć uroczystościami pogrzebowemi. Weszli do niego Żeromski, Wyczółkowski, Axentowicz, Skotnicki i inni[1]. Przez nich to zapewne uproszony został Kasprowicz do wygłoszenia mowy na pogrzebie, który zamienił się w potężną manifestację narodową. Rękopis przemówienia zachował się w tece anonimowych autografów Bibljoteki Publicznej m. Warszawy nr. 1974. Jasność układu i czytelność, zupełny brak poprawek i skreśleń przemawiają za tem, że był to czystopis, z którego Kasprowicz odczytywał przemówienie na pogrzebie. Może zresztą zamierzał je przesłać jakiemuś pismu do przedruku i dlatego je tak starannie skopjował. W każdym razie brak tu wszelkich tak charakterystycznych dla rękopisów poety skrótów i zbitek graficznych. Trzy karty szarego papieru o wymiarach 29 x 23 cm, zapisane jednostronnie. Prawe ich brzegi są bardzo zniszczone i poszarpane; pierwszy arkusz podklejony w kilku miejscach. Paginacja zaznaczona w prawym rogu u góry. Na pierwszej stronie z prawej u góry tytuł: „Nad trumną Witkiewicza", poprawione z „Na pogrzebie Witkiewicza", przyczem wyraz „pogrzebie" przekreślono, a nad nim napisano „trumną". Pismo czyste, wyjątkowo czytelne. Podkreślenia niebieskim ołówkiem. Pogrzeb odbył się 26 września 1915 r.

Warszawa. *Ludwik Rath.*

MICKIEWICZ I ROSJANIE

DROBIAZGI Z CZASOPISM ROSYJSKICH

1. Znana improwizacja, którą długo i bez dowodu przypisywano Mickiewiczowi i po raz pierwszy umieszczono w paryskiem wydaniu „Dzieł" r. 1880 (p. Korbut, III. 31), była już w r. 1859 ogłoszona w piśmie rosyjskiem „Bibliograficzeskija zapiski" (str. 604—605) przez A. Sawieljewa p. t.: „Improwizacija Mickiewicza" (osen'ju 1824 g.)

Na twą pierś białą upadł śnieżek biały
I bielszym od niej się mienił;
Lecz wkrótce poznał błąd swoy zuchwały
I z żalu w łzę się przemienił.

Pan Sawieljew dołączył do tego tekstu tylko następującą notatkę: „Podczas pobytu na jesieni r. 1824 w Petersburgu Mickiewicz był zaproszony razem z Puszkinem na obiad do jednego arystokratycznego domu. Pogoda była śliczna; goście wyszli do ogrodu. Znienacka zrobiło się pochmurno, w powietrzu przeleciało kilka płatków śniegu i jeden kapryśnie upadł na pierś młodej piękności. Puszkina i Mickiewicza poproszono o improwizację na ten temat. Poeci zgodzili się. Improwizacja Puszkina została nieznaną; czterowiersz Mickiewicza przypadkowo słyszałem od jednego Polaka i tu go podaję". Od kogo słyszał i prawdopodobnie otrzymał tekst improwizacji, p. Sawieljew nie wspomina; przytem mylnie datuje ją r. 1824, widocznie wprowadzony w błąd przez swego informatora.

2. „Tygodnik Petersburski", który zaczął wychodzić od stycznia r. 1830 przy uczestnictwie w przygotowawczych pracach Mickiewicza i jego przyjaciół, pozyskał już na wstępie w rosyjskich kołach literackich przyjęcie nadzwyczaj przychylne. Według zdania wielu współczesnych jego czytelników rosyjskich był Tygodnik „najlepszą w cudzym języku wydawaną gazetą w Rosji". Czy w tej sympatji dla pisma, które powstało z udziałem Mickiewicza, nie leżała część ogólnej czci literatów rosyjskich dla wieszcza polskiego?

Jednocześnie przyjaciel Puszkina poeta baron A. A. Delwig (1798—1831), z najbliższym udziałem wielkiego poety, rozpoczął 1 stycznia r. 1830 wydawnictwo rosyjskiej „Gazety Literackiej" (Litie-

[1] Według listu siostry Witkiewicza, pani Marji, do wydawcy z 4 lipca 1935.

raturnaja Gazieta). Stanowisko, jakie zajęło pismo Delwiga względem Tygodnika, było przyjacielskiem. Redakcja „Gazety Liter." na łamach pierwszego rocznika udzieliła miejsca kilku mniejszym artykułom, przełożonym z „Tygodnika", uważając je za ciekawe i zajmujące także i dla czytelników rosyjskich. W zamiarze poznajomienia ich z współczesną literaturą polską „Gazeta Liter." drukuje „Otrywok iz dramaticzeskoj poemy Angielika" (akt I, scena 2) Józefa Korzeniowskiego, w tłumaczeniu wierszem W. Szczastnego, z krytyczno-biograficznemi notatami o autorze. Szczególną uwagę zwróciła „Gazeta Liter." na listy A. Chodźki z jego podróży do Astrachania, Baku oraz na inne wiadomości o podróżach polskiego orjentalisty. Petersburskie wydanie „Poezyi" (1829) Chodźki, oryginalnych i przełożonych, w recenzji (na str. 38—39) przyjęto bardzo życzliwie i recenzent odkrywa w nich „znamię talentu" i znajduje, że pisma uczonego Polaka mogą „uprzyjemnić chwile oświeconym miłośnikom poezji".

Dla rosyjskich przyjaciół Mickiewicza, których po wyjeździe wieszcza za granicę zajmowała zapewne każda wiadomość o nim, Gazeta Liter. (Nr. 6, str. 48) podaje w przekładzie „Wyjątki z listów Adama Mickiewicza, pisanych z Rzymu w końcu listopada i połowie grudnia 1829 r." (z Tygodn. Petersb., Nr. 1, 15 stycznia). Redakcja nazywa te wyjątki „znakomitemi" (zamieczatelnymi) i „obfitemi w myśli". Jednakowoż wrażenie, odniesione głównie ze zbiorów watykańskich i kilku ogólnikowych spostrzeżeń poety nad literaturą włoską, nie wywołały takiego zachwytu wśród niektórych czytelników Gazety Liter. — przynajmniej jeden z współczesnych pisarzy, poeta i subtelny krytyk, ceniony przez Puszkina, jako jeden z pierwszych „apostołów romantyzmu" rosyjskiego i w pierwszym roku życia Gazety jej współpracownik P. A. Katienin (1792—1853) nie bez zdumienia zapytywał (8 lutego 1830) przyjaciela, także krytyka literackiego N. J. Bachtina: „Jakiemi myślami zachwyca się Gazeta Liter. w liście Mickiewicza z Rzymu, — w tem, co oni jako wzór przytoczyli, niema ani jedynej myśli, a tylko Bestużewskie bzdurstwa" (Pis'ma P. A. Katienina k N. J. Bachtinu, izdał A. A. Czebyszew, SPB, 1911, str. 171). Krytyk miał oczywiście na myśli bombastyczne, lecz niekiedy pozbawione głębszej treści frazesy znanego romantyka-dekabrysty A. Bestużewa (Marlińskiego), i upatrywał podobieństwo z niemi w listach Mickiewicza.

Praga. *Włodzimierz A. Francew.*

R E C E N Z J E

MICKIEWICZ A SŁOWIANIE

BATOWSKI HENRYK. Mickiewicz a Słowianie do roku 1840. Lwów 1936. Str. 204. Archiwum Tow. Nauk. we Lwowie, dział I, tom VII, zesz. 1.

Dawna obojętność wobec rzeczy słowiańskich objęła nawet stosunek Mickiewicza do Słowian, o który mało dbano, co najwyżej o Puszkina, dla ustępu przed Piotrem W. i dla „Miedzianego jeźdźca", ów ustęp jedyny T. T. Jeż trafnie objaśnił, rozeznawszy w nim szczerą fikcję poetycką, bez odpowiednika w rzeczywistości. Dopiero w ostatnich latach odmienił się ów stan obojętności, dzięki pracom Lednickiego, Blütha i i., do których się teraz p. Batowski przyłączył. Dzieło wymienione u góry stanowi tylko pierwszą część całej pracy, ograniczoną r. 1840, dwie dalsze obejmą wykłady paryskie i czynność późniejszą, przeważnie już tylko polityczną. Naturalnie zajął w tej części pierwszej stosunek z Rosją (rozdziały III—VI, str. 32—157) najwięcej miejsca, a wymagał badań na miejscu, jakich autor w podróżach naukowych dokonał. Studjum jego, nadzwyczaj staranne, nowych jakichś odkryć nie dokonało, ale uzupełniło i pogłębiło dawniejsze; chodziło mianowicie o stosunki z „przyjaciółmi"-dekabrystami, mniej z Puszkinem samym, co rozpatrywali szczegółowo poprzednicy autora. Wyprzedzają te rosyjskie dwa krótkie rozdziały o słowianoznawstwie wileńskiem i o Białorusi a kończą o Jugosławji i Czechach (głównie z powodu falsyfikatu „Guśli" p. Merimé i dla W. Hanki); stosunki poety, rosyjsko-wileńskie, ograniczają się do pytania, co rosyjskiego wyniósł poeta ze

szkoły: okazało się, że wcale nie wiele; najobszerniejszy rozdział, Rządy Aleksandra I (str. 93—149) miał wykazać, o ile poeta był wtajemniczonym w plany „grudniowców": walne źródło informacyj, to urzędowe sprawozdanie o spisku (Doniesienije itd. z r. 1826); każdy szczegół omówiony najdokładniej, ale granica, r. 1840, przekroczona, gdyż wciągnął autor, żeby się nie powtarzać, i wykłady paryskie. Szczególniej dotyczy to stosunku z Puszkinem i z jego poezją, gdzie nietylko nekrolog, ale i wykłady paryskie uwzględniono — może aż nadto obszernie (całe wiersze Puszkinowe przytoczono w oryginale i przekładzie); nowego nie podano nic, ale każdy szczegół sprawdzono z literatury rosyjskiej, ze wspomnień Polewego i i. Odsyła autor o tem wszystkiem i do prac polskich i rosyjskich; że można coś nowego znaleźć, dowiódł Jeż, który swego pomysłu bliżej nie uzasadnił, co wcale nie trudno: gdyby się owa rozmowa pomnikowa istotnie zdarzyła, byłoby powtórzenie jej szczytem niedyskrecji, zakrawałoby na obrazę chyba! Nadzwyczajna zabiegliwość, zebranie bogatego materjału, staranna i trzeźwa jego ocena, oto zasługi pracy autorskiej, której równego ciągu dalszego tylko życzyć wypada.

Berlin. *Aleksander Brückner.*

„PAN TADEUSZ" PO RUSKU

MICKEWYCZ ADAM. Pan Tadeusz, perekład Maksyma Rylśkoho, wstupne słowo Romana Smal Stoćkoho. Ukrajinśkyj Naukowyj Instytut, Warszawa 1934, str. XVI+260+XXI.

Na karcie tytułowej wydawcy powinni byli zaznaczyć, że jest to już drugie wydanie. Pierwsze wyszło nakładem wydawnictwa „Słowo" w Kijowie r. 1927. Ale wydanie to — jak zaznacza prof. Smal Stoćkyj — rozchwytane zostało w krótkim czasie, a „za bolszewyćkyj kordon popałysia tilky kilka primirnykiw". Prędkie rozejście się nakładu świadczy o dwóch rzeczach: że poemat Mickiewicza trafił do serc publiczności ukraińskiej, a przekład dobrze spełnił rolę kulturalnego pośrednika. Istotnie przekład ten godzien wielkiej pochwały; powtórzymy bez zastrzeżeń słowa Smal Stockiego: „perekładom Rylśkoho ukrajinśka literatura może sprawdi hordytysia". Jest to jeden z najlepszych przekładów, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek czytać. Przekład, który jest dziełem prawdziwie twórczego natchnienia. Nie wątpię, że w literaturze ukraińskiej stanie się on ważną podnietą, że przytem i w historji literackiego stylu i języka będzie miał kartę ważną, podobną tej, jaką otrzymała niegdyś świetna parafraza „Eneidy" Kotlarewskiego. Nie chcę mówić, że i Rylśkyj dokonał porafrazy. Mamy wiadomość, że nie poprzestając na dobrej znajomości polszczyzny (zawdzięczał ją podobno tkwiącej w nim pewnej tradycji polskiej), prowadził studja, które miały mu udostępnić każdy sekret utworu. Niestety nie dane mu już było zaznajomić się z świetnem wydaniem „Pana Tadeusza" w opracowaniu Pigonia, które uchroniłoby go od drobnych — niezbyt zresztą ważnych — omyłek. W każdym razie wierności nie uchybił poważnie ani razu; zatarcie, czy raczej przytłumienie pewnych tonów patrjotycznych czy specyficznie polskich może jest tu umyślne (jak Zegadłowicz w przekładzie „Fausta" zacierał, w znaczniejszym zresztą stopniu, tony specyficznie niemieckie), w każdym razie zarzutu z tego czynić nie myślę. Także i z tego, że miejscami ton nieco zniżył, ze szlacheckiej powieści czyniąc przystępną dla ludu gawędę. To wszystko nietylko było dopuszczalne i właściwe, ale — mojem zdaniem — nawet konieczne, bo inaczej przekład nie osiągnąłby tej zdumiewającej naturalności, która czyni go czytelnikowi tak ogromnie bliskim. Naturalność osiąga Rylśkyj i przez amplifikacje wyrażeń zbyt zwięzłych, przez podstawianie zwrotów rodzimych w miejsce zbyt specjalnych; nie poszedł jednakże tłumacz w kierunku zupełnego ich zeswojszczania — owszem tu i owdzie zachował polskie wyrażenia, które dałyby się zastąpić powszechnie używanym odpowiednikiem.

Wiersz, którego użyto w przekładzie, ma pewne podobieństwo do wiersza oryginału. Jest to aleksandryn rymowany parzyście, o rymach bądź żeńskich, bądź męskich, a utrzymany w toku jambicznym. Ta ostatnia okoliczność wprowadza w melodję przekładu ton odmienny od tego, który wyczuwamy w zmiennej fali tonicznej polskiego trzynastozgłoskowca. W każdym razie melodja — choć różna — bywa tu niekiedy równowartościowa, zwłaszcza

w opisach przyrody. Dla przykładu przytoczę początek księgi szóstej:

Powoli z wohkoho i siroho tumanu
wychodyw doświtok. Ta ne sijaw rumiano
deń nabłyżajuczyś, — a żmurywsia, ślipyj.
Skriż nawysała mła, jak myrszawi snopy
na chati wbohoho łytwyna. Sonce wstało
ta jszło neweseło, mow iduczy drimało...

Książkę tę witamy gorąco, nietylko jako wielki czyn artystyczny świetnego tłumacza, nietylko jako dowód wielkiej żywotności dzieł naszego wieszcza, ale i jako dowód szlachetnych dążeń Ukraińskiego Instytutu Naukowego, mających na celu zbliżenie dwóch narodów w dziedzinie wyższej nad te czy inne antagonizmy: w dziedzinie kultury.

Warszawa *Józef Birkenmajer.*

RODOWÓD TELIMENY

DOBRZYCKI STANISŁAW. Rodowód Telimeny. Warszawa 1934, str. 45. Ultima Thule.

Odczyt ś. p. prof. Stanisława Dobrzyckiego, wygłoszony w r. 1930 na inauguracyjnym zebraniu Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, wydany w r. 1934, zawiera w szczupłych ramach bardzo cenne spostrzeżenia, dotyczące postaci z „Pana Tadeusza", najbardziej przez krytyków i badaczy poematu pokrzywdzonej. Autor podejmuje się tutaj apologji Telimeny z dwóch punktów widzenia, z których pierwszy jest bardzo ciekawy; mianowicie wykazuje niedocenione walory artystyczne postaci, a następnie broni kwestjonowanej często wartości moralnej Telimeny. W rozważaniach dotyczących punktu pierwszego, zwraca uwagę na ogromne znaczenie tej postaci w kompozycji „Pana Tadeusza". Telimenie przecież poświęcił poeta $^1/_8$ poematu. Bez Telimeny nie byłoby rywalizacji między Hrabią a Tadeuszem, nie doszłoby do zajazdu i spowiedzi ks. Robaka. Następnie zwraca autor uwagę na szczególne stanowisko Telimeny wśród postaci, wyjaśnia je przedewszystkiem techniką zaciekawienia czytelnika tajemniczością, niedomówieniami, następnie tem, że poeta ujmuje postać Telimeny w sposób dramatyczny, podczas gdy inne postaci ujęte są epicko. Stąd pewne jej rysy, np. pobyt w Petersburgu, są przedstawione bardzo jaskrawo, wyraziście, inne są jakby stonowane. Z pośród tych wyjaskrawionych rysów na plan pierwszy wybija się jej pogoń za mężem; temu podporządkowane są wszystkie jej czyny i uczucia, to jest ta cecha dominująca, wyznaczająca stosunek czytelnika do postaci. Ale pod tym rysem kryje się prawdziwe oblicze Telimeny, celowo ze względu na zamiar artystyczny poety usunięte w cień: wszystko bowiem w Telimenie jest cechą przybraną, woalem, który ma służyć do kokietowania Hrabiego lub Tadeusza. Te rozważania o komedjowej postaci w utworze epickim są bardzo ciekawe, szkoda tylko, że autor nie rozwinął i nie opracował tego szerzej. Mniej interesujące są natomiast rozważania dotyczące „rzeczywistego" i literackiego rodowodu Telimeny i obrona jej „etycznej" wartości. Wszystko to bowiem nie ma najmniejszego znaczenia dla zrozumienia i głębszego wniknięcia w poemat, ustalenie zaś, czy Telimena miała przeszłość nieskazitelną, czy też nie, czy miała 35 lat czy 40, jest w naszym stosunku do „Pana Tadeusza" rzeczą obojętną i nie warto o to kruszyć kopji. Mimo to drobne zastrzeżenie ładna i ciekawa rozprawka Dobrzyckiego zasługiwała na wydanie.

Warszawa. *Janina Kulczycka.*

KSIĘGA OFIAROWANA CHRZANOWSKIEMU

Prace historyczno-literackie, Księga zbiorowa ku czci Ignacego Chrzanowskiego. Kraków 1936. Str. 646. Z portretem Ign. Chrzanowskiego. (Prace z historji literatury polskiej nr. 1). Skład główny w Kasie im. Mianowskiego, Warszawa, Nowy Świat 72.

Przez siedemdziesiąt lat życia, czterdzieści pięć lat naukowej działalności i dwadzieścia kilka lat pracy na katedrze uniwersyteckiej prof. Ign. Chrzanowski wychował wielu tęgich pracowników naukowych, wśród których znajdują się dzisiejsi profesorowie i docenci uniwersytetów. Choć każdy z nich poszedł własnemi drogami, a niejeden wyszedł poza krąg właściwej polonistyki, jednakże w rozbieżnych kierunkach owych dróg wszędzie trafiały się — czasem nieuświadomione — impulsy dane przez pierwszego kierownika; w tem tylko znaczeniu możnaby mówić o jakiejś „szkole Chrzanowskiego". Poza tem bowiem trudno ujmować zastęp uczniów Chrzanowskiego w jakąś „szkołę", tak jak się mówi np. o „szkole Pilata". Dla umyślnego kontrastu rzuciłem tu owo drugie

nazwisko, by zaznaczyć różnicę między klanem zamkniętych w swoim fachu filologów, a drużyną tych pracowników, którzy uważają, iż nie jest to dla badacza literatury żadną ujmą — jeżeli prócz naukowej wartości ma na względzie i literacką wartość prac swoich.

A to właśnie zawdzięczają uczniowie — mistrzowi. On dał przykład, jak należy pisać — zajmująco. Że na owe czasy było to rewolucją nieomal, stwierdza jeden z najstarszych uczniów Chrzanowskiego, Franciszek Bielak, w napisanej barwnie i żywo sylwetce profesora. Oto jakie wrażenie wywarła na autorze i jego kolegach już „wstępna" lektura „Historji literatury niepodległej Polski": „trafił do nas temi niepokojącemi wtrętami, jakiemi do nas przemówił nieoczekiwanie poprzez karty swej książki... było coś tak żywego, coś tak młodzieńczego w całym stylu książki, a zwłaszcza w zdecydowanych osądach ludzi i ich działalności, że wyraźnie tchnęło urokiem zakazanej przez starszych lektury... Jeszcześmy tak kuszącej książki szkolnej nie widzieli, jeszcześmy nigdy nie mieli tak nęcącego swą żywością podręcznika! Zaczęliśmy wtedy niejasno rozumieć, że ci wszyscy pisarze to ludzie żywi, nam bliscy; odczuliśmy smak ich ludzkości i polskości, my, których uczono dotychczas masy niezorganizowanych żadną myślą wiadomości erudycyjnych".

Zarówno z przeglądu prac wybitnego uczonego, danego we wspomnianym szkicu Bielaka, jak i z bibljografji doskonale zestawionej przez Adama Bara (przy współpracy: W. Dziąbianki, T. Mikulskiego i F. Sławskiego) przekonywamy się, że nadmiernie skromny był Chrzanowski, gdy w początkach działalności naukowej zwierzał się Sienkiewiczowi, iż za wyłączną dziedzinę swych badań uważa literaturę staropolską. Wprawdzie w tej dziedzinie wsławił się najwięcej, jednakże z równą biegłością ogarnął dalsze „sto lat myśli polskiej" i zaranie wieku bieżącego, aż wszedł i w nową, powojenną już „literaturę niepodległej Polski" (nie zapomnę, jak na jego właśnie seminarjum w r. 1921 roztrząsano zagadnienia ...futuryzmu! wypadek chyba dotąd jedyny w kronikach uniwersytetów polskich!). Prawda, że pewne okresy czy pewne postacie z owych lat pociągały go bardziej niż inne, widocznie bardziej odpowiadały jego czyto przyzwyczajeniom czy poglądom. Do tych właśnie predylekcyj dostosowali się autorowie reprezentowani w pamiątkowej księdze. Najwięcej, bo kilkanaście, prac poświęcono piśmiennictwu przedrozbiorowemu, mniej już epoce romantycznej, najmniej czasom późniejszym.

Przed wszystkiemi jednak idą trzy prace poświęcone zagadnieniom natury ogólnej. W aktualną nutę uderzył Stanisław Cywiński, poruszając „sprawę podziału dziejów literatury polskiej na okresy". Sprawą tą zainteresował się ostatnio Grabowski, który omawiał ją nietylko w prasie perjodycznej, ale i na zjeździe międzynarodowym historyków literatury w Amsterdamie (por. „Przegląd Powszechny" listopad 1935). Jego informacyj i uwag, zdaje się, Cywiński nie zdążył już uwzględnić w swej pracy, dającej nader skrupulatny przegląd wszystkich przyjmowanych dotąd podziałów. Sam autor proponuje podział nowy, złożony, oparty na emulacji czy kolaboracji trzech czynników: a) rodzimości, b) uniwersalizmu (katolicyzmu), c) obcych, partykularnych wpływów; granicami okresów (i podokresów) czyni z zasady zdarzenia literackie, nie zaś polityczne. Zagadnienie ciekawe i warte dalszej dyskusji, zwłaszcza, jeżeli przyjdzie do praktycznego zastosowania tego podziału w obszerniejszem dziele o literaturze polskiej, które Cywiński — jak domyślać mi się wolno — przygotowuje.

W związku ze wspomnianym zjazdem amsterdamskim powstał referat W. Folkierskiego „Na lotnych piaskach terminologji historycznej: renesans i romantyzm". Wznowione tu zostało zagadnienie, nie od dzisiaj niepokojące badaczy europejskich, a także i tych badaczy polskich, którzy rozglądają się szeroko w literaturach świata (np. Zygmunt Łempicki). Chodzi o to, by ustalić znaczenie terminów wciąż używanych w historji literatury, a mimo tego używania (może właśnie wskutek tego ciągłego używania, niekiedy nadużywania), dotychczas niesprecyzowanych. Jako środek wyjścia z impasu, Folkierski słusznie wskazuje metody porównawcze. Konieczne są one zwłaszcza, gdy chodzi o określenie pojęcia „renesansu" oraz granicy wstępnej tegoż renesansu. Określenie to jest niemożliwe, póki nie zniknie „sztuczna przegroda między medje-

wistyką a nowoczesną literaturą porównawczą". — Te same trudności, co przy renesansie, spotykamy przy precyzowaniu pojęcia „romantyzmu". Prof. Folkierski wskazuje słusznie na ważne ogniwo między średniowieczem a romantyzmem, jakiem jest barok, w szczególności zaś wielki teatr religijny hiszpański. Wniosek ostateczny: „Starożytność — humanizm — klasycyzm z jednej strony, z drugiej: średniowiecze — barok — romantyzm, oto bodaj dwa główne szlaki, po których potoczyć się winny przyszłe nasze badania".

Stefan Kołaczkowski zajął się innym „sporem granicznym", a mianowicie zagmatwaną granicą zamykającą t. zw. okres pozytywizmu. Za „konwencjonalne daty graniczne", (wbrew dotychczasowemu zwyczajowi, upatrującemu trwanie pozytywizmu aż do pojawienia się „Młodej Polski") uznał: „założenie „Głosu warszawskiego" w 1884 r., rozpoczęcie w tymże mniej więcej czasie akcji Stanisława Witkiewicza w „Wędrowcu", pojawienie się „Ogniem i mieczem" w r. 1884". Zasługą Kołaczkowskiego jest tu przedewszystkiem zwrócenie uwagi powszechnej na niedocenianą przez badaczy literatury działalność Jana Ludwika Popławskiego, który był nietylko pierwszym świadomym opozycjonistą w stosunku do pozytywizmu, ale i organizatorem nowych sił. Nie importowane z Zachodu nowe prądy literackie czy artystyczne przyczyniły się do przeobrażenia naszego piśmiennictwa, ale wcześniejsza inicjatywa — wypływająca ze źródeł rodzimych i naturalnych, z nurtu społecznego i politycznego. W tem świetle rozumie się ciągłość i jednolitość twórczości Kasprowicza (od 1889), dodam ponadto: Reymonta i — mimo wszystko — Żeromskiego, a więc pisarzy wyprzedzających debjutem ową, rzekomo przełomową chwilę, kiedy w roli zwiastuna czy apostoła nowej epoki stanął nadęty swą efemeryczną sławą, a z całokształtem naszych dziejów kulturalnych słabo zrośnięty Przybyszewski.

Te trzy rozprawy stanowią — czy przypadkiem, czy może w myśl głównego redaktora introdukcję, czy perspektywę całej księgi. Po tak wspaniałym frontonie należałoby się spodziewać równie jednolitego i planowego skomponowania dalszej budowy, wysnucia konsekwencyj z postawionych założeń, a więc bądź dodania dalszych wniosków, bądź rozpoczęcia dyskusji. Ale tego już trudno wymagać w dzisiejszych czasach; nietylko krótkość czasu stała na zawadzie, ale były i inne powody: niepodobna przecie narzucać nikomu tematów, co ważniejsza zaś, nie można na gorąco dyskutować pewnych kwestyj, które są dopiero napoczęte i nowe, dla niejednego niespodziane. Temu to przypisać zapewne należy, że postąpiono naprzekór słusznym żalom Folkierskiego, iż dotąd: „średniowiecze oddawało się w wyłączną arendę językoznawcom i filologom... dla historji estetyczno-literackiej średniowiecze przedstawia się wciąż jeszcze jako terra ignota". Jedyną w całej księdze pracę mającą związek ze średniowieczem napisał językoznawca Tadeusz Lehr-Spławiński. Są to mianowicie „Uwagi o języku Bogurodzicy".

Rozprawka ta jest przeróbką odczytu wygłoszonego w Akademji Umiejętności w grudniu 1935 r. Jej zasadniczą tezą jest trafne stwierdzenie faktu, że tekst „Bogurodzicy", a raczej jej teksty, jakie dziś znamy, pochodzą z nader późnych odpisów, w których różne przestarzałe formy i wyrazy uległy bądź przekręceniu, bądź modernizacji, bądź wreszcie t. zw. etymologji ludowej. Ze szczegółowych rozważań owych form i wyrazów autor wysnuwa ostateczny wniosek: „Bogurodzica okazuje się bezsprzecznie najstarszym zabytkiem naszej twórczości literackiej, który, gdyby się zachował w formie współczesnej czasowi swego powstania, stanąłby zapewne co najmniej w jednym rzędzie z najstarszym naszym zabytkiem językowym, bullą gnieźnieńską z r. 1136".

Tak więc prof. Spławiński zgodny jest z dawniejszym (1908) sądem Jagicia, że należy znacznie cofnąć w głąb wieków wcześniejszych dobę powstania „Bogurodzicy", w porównaniu z przyjmowanym dotąd często, za Brücknerem, okresem, t. j. drugą połową w. XIII. Wywody jego, nader ostrożne, taktowne i spokojne, a przytem systematycznie ułożone, będą stanowiły epokę w badaniach nad językiem „Bogurodzicy". Mimo to nasuwają się w nich drobne sprawy sporne, zwłaszcza że autor prawie nie uwzględnił wyników dyskusji, jaka toczyła się po wspomnianym jego odczycie, a powtóre nie dotrzymał przyrzeczenia: „nie mam zamiaru

wdawać się tutaj w roztrząsanie kulturalno-historycznych i literackich argumentów" — i o te właśnie argumenty potrącił. Więc muszą one w uwagach recenzenta znaleźć rezonans.

Przedewszystkiem, zgodnie z prof. Brücknerem, odrzucić muszę powtórzoną przez prof. Spławińskiego, hipotezę Łosia, jakoby „Bogurodzica" była pieśnią przeznaczoną na Boże Narodzenie. Śpiewano ją coprawda i wtedy, ale nie był to wcale jakiś specjalny przywilej tego święta; owszem w inne święta śpiewano ją jeszcze częściej — warto pamiętać, że pierwsze dokładniejsze wzmianki o jej śpiewaniu odnoszą się do ...święta Rozesłania Apostołów (15 lipca)! Stąd i dalsze wnioski Łosia, powtórzone przez prof. Spławińskiego, są mylne. Łoś, spotkawszy w malarstwie włoskiem (renesansowem, a więc młodszem niewątpliwie o kilkaset lat od „Bogurodzicy"!) motyw Madonny z Dzieciątkiem oraz maleńkim św. Janem Chrzcicielem, wziął go błędnie za tożsamość greckiego „deesis", w którym dawni badacze (Szczurat, Brückner, Jaworskij) słusznie widzieli wzór ikonograficzny pierwszych dwóch zwrotek „Bogurodzicy". Otóż w dyskusji nad odczytem tu omawianym znawca ikonografji bizantyńskiej, prof. Wojesław Molè, oraz niżej podpisany zwrócili uwagę na to, że „deesis" nie ma nic wspólnego z motywami, które dla Łosia stanowią argument; jak bowiem mówi owa nazwa grecka (oznaczająca „modlitwę błagalną", suplikację), malarz przedstawiał na takim obrazie zanoszenie głosów (usłysz nas — ákuson), a następnie pragnień ludzkich (wysłuchaj nas — epákuson) do Kyriosa (Gospodzina) czyli Chrystusa, przedstawionego jako potężnego Władcę (często na tronie), po którego dwóch bokach stoją w kornej postawie Pośrednicy i Orędownicy nasi: Bogarodzica z prawej strony, a (dorosły!) Chrzciciel-Prodromos z lewej. Żadnego „Dzieciątka", „Bożyka", na tych obrazach niema ani śladu, więc cała kunsztowna hipoteza Łosia nie ma najmniejszej podstawy. Stały brak Dzieciątka jako znamienną cechę „deisisu" akcentują wszyscy badacze i znawcy rytu bizantyńskiego (ostatnio Z. Licharewa w „Oriensie" z kwietnia b. r.).

Drugą sprawą, na mylnych przesłankach literacko-kulturalnych opartą, jest interpretacja słów „U Twego Syna Gospodzina... ziści (czy zyszczy) nam..." Spławiński powtórzył dosłownie interpretację Brücknera, bo mu się wydawała „piękną". Sądzę, że to za słaby argument. W sprawach dotyczących pieśni kościelnej, i to pieśni, która przez biskupów wielokrotnie nakazywana stała się pieśnią liturgiczną, decydować muszą inne względy (które stale akcentują liturgiści, np. Guardini), a więc: tradycja kościelna, liturgja i dogmat. Nie należało więc starych hipotez powtarzać, zwłaszcza że w omawianej dyskusji dał wyjaśnienie odnośnego miejsca fachowy znawca, prof. Sinko, wskazując, że we wszystkich hymnach maryjnych, a także w modlitwach powtarza się stały motyw: prośba do Matki Boskiej, by wyjednała u Swego Syna ludziom odpuszczenie grzechów. Interpretacja o rzekomem „spuszczeniu" Chrystusa przez Matkę Boską na ziemię nietylko nie znajduje potwierdzenia w żadnym z hymnów i żadnej modlitwie (słusznie to zaznaczył Łoś), ale jest sprzeczna z nauką chrześcijańską, zwłaszcza w użytem przez Brücknera porównaniu z Sakramentem Ołtarza, którego dogmat nie ma nic wspólnego z dogmatami marjologicznemi; nie Matka Boska przecie we mszy św. sprowadza Chrystusa między wiernych, ale słowa kapłańskie ustanowione podczas Ostatniej Wieczerzy... Nadmienię, że przekład łaciński „Bogurodzicy" z końca w. XV, zachowany w rękopisie cieszyńskim (mam przed oczyma jego dokładną fotografję, pisząc te słowa) wyraźnie i to po dwakroć tłumaczy odnośne miejsce: lucreris veniam, a więc „ziść nam odpuszczenie (grzechów)", przyczem tekst ten (jak w całym przekładzie) odpowiada rytmicznie oryginałowi polskiemu, tudzież greckiemu pierwowzorowi: dos hemin áfesin, powtarzającemu się i w łacińskich hymnach z przełomu X i XI wieku. Nadmienię też, że wszystkie rękopisy „Bogurodzicy" mają tekst: „U Twego Syna", więc przyimka „u" opuszczać nie wolno, zwłaszcza, że ma on wyraźnie poświadczony rękopisami odpowiednik w melodji utworu, a sam prof. Spławiński słusznie zaznacza, że psuć rytmiki nie należy. Nie będzie jej psuło: ziści nam — spust winam, skoro rymo-

wanie podobne było powszechne u nas nietylko przez całe wieki średnie, ale i później (W. Potocki: obok cię — łokcie; Krasicki: lesie — dziwuje się; Słowacki: stosie — świeciło się... i tak dalej, aż do Lemańskiego, Boya i Iłłakowiczówny). Natomiast wprowadzeniu hipotetycznego „Gospodna“ zam. „Gospodzina“, sprzeciwia się nietylko rym, ale ważniejsze względy: istniejący w kontakjach bizantyńskich podobny wzór syntaktyczno-rytmiczny, następnie znów melodja poświadczona rękopisami pieśni i zgodność wszystkich jej tekstów. Wywody wersyfikacyjne Łosia są tu mylne: autor „Bogurodzicy“ z wszelką pewnością nie znał jeszcze teoryj ...Klopstocka. Znał natomiast napewno te zasady wierszowania, jakie zachowane są w dziełach greckich i łacińskich pisarzy średniowiecznych. Wreszcie nadmienię, że zwrot „Spust winam“ zaświadczony jest kilkoma niezależnemi od siebie tekstami „Bogurodzicy“; natomiast w żadnym tekście niema słowa „puścinq“, jakiem Łoś („Język Pol.“) chciał zwrot ten zastąpić...

Zkolei idą dwie prace poświęcone wiekowi XVI. Prof. R. Pollak dał garść szczegółów o Janie Smoliku, którego utwory wydał niedawno; Henryk Barycz zaciekawił nas szeregiem wiadomości o studjach uniwersyteckich Szymonowica, nader ważnych, skoro te studja tyle dały prawdziwej wiedzy i kultury przyszłemu autorowi „Sielanek“. Rzadko odzywający się badacz L. Kamykowski zajął się nietylko Szymonowicem, ale sielanką polską w ogólności, kreśląc zasadnicze linje jej rozwoju i omawiając kwestję dalszych studjów. Autor rzecz swoją uważa za „szybki szkic“ — istotnie, obok miejsc, gdzie zgromadził dużo materjału, są momenty ujęte dorywczo. W każdym razie kontynuacja pracy — i to przez niego właśnie — wydaje się nam pożądaną; ale tu już może wartoby przekroczyć epokę Brodzińskiego („Sławianie my lubim sielanki“) i zająć się wydatniej sielanką Słowackiego („W Szwajcarji“), Sienkiewicza i in. (możeby i Rodocia „Sielanka maleńka taka“?) w stosunku do sielanki europejskiej. Narazie postulaty Kamykowskiego już podchwycił i wykonał cudnie Wacław Borowy na odcinku poezji stanisławowskiej, kreśląc miły obrazek („W cypryjskim powiecie“), a mianowicie odmienny od dotychczasowych portret Kniaźnina: „Widzieliśmy go jako sentymentalnego dworaka i safandułę, coś w rodzaju podtatusiałego Albina w tataratce i z sumiastemi wąsami. W historji literatury jakby nie było osobnego pomieszczenia dla jego poezji; lokowało się ją w przechodnim pokoju za Karpińskim“. Znano też drugi jego portret: nacechowany rysami tragicznemi (grywano i dramat na tle dziejów poety, napisany przez Szujskiego). Borowy zajął się głównie tą dziedziną, która dotąd była zbyt ryczałtowemi sądami krzywdzona przez historyków literatury: erotykami Kniaźnina. W ich zbiorze coprawda „jest coś dziecinnego“ — jednakowoż „dziecińswa te nawet są ciekawe jako dokument ludzki, a ekspresyjnie często wprost świetne. Literatura polska zaś nie jest zanadto bogata, by to lekceważyć“.

Wiek XVIII przedstawia się w księdze najsilniej pod każdym względem: ilościowo i jakościowo. Prócz Borowego zajęli się nim: I. Turowska-Barowa, J. Krzyżanowski, Z. Leśnodorski, M. Brahmer, J. Nowak. Prace trojga pierwszych dotyczą Krasickiego. Przedewszystkiem zaś zajęto się występującemi u tego pisarza (oraz innych pisarzy stanisławowskich) motywami orjentalnemi, na które w owym wieku była moda w całej Europie; na tem tle mamy w księdze jakby małą polemikę: prof. Krzyżanowski, uznając wszystkie zasługi swej poprzedniczki, stwierdza jednakże, iż znaczna część powieści wschodnich zawiera t. zw. wątki wędrowne, powracające od wieków ustawicznie w literaturach europejskich. Leśnodorski wykazuje u Krasickiego wpływy poetyki starożytnej; niebardzo tylko rozumiem, czemu aż dwukrotnie nazwał „Myszeidę“ — „dziwaczną“, skoro ona ani w jednym szczególe nie uchybia wzorom i prawidłom klasycznym; niedość przecie, że o wiele większe ekstrawagancje spotkamy w pierwszej lepszej komedji Arystofanesa, czy w „Złotym ośle“ Apulejusza, niedość, że sam zasadniczy pomysł „Myszeidy“ przejęty został z pseudo-homerowej „Batrachomyomachji“, ale ponadto cały poemat kończy się zdaniem: „Szczęśliwy, kto wdzięk wraz z pożytkiem złączył“ — co, jak wiadomo, jest przekładem Horacjuszowego: „omne tulit punc-

tum, qui miscuit utile dulci"; nb. Leśnodorski zdanie to cytuje mylnie i nierytmicznie: „fortunatus est ille (!), qui miscuit utile cum (!) dulci". Brahmer omawia ciekawe listy Węgierskiego o Wenecji, a przy sposobności wspomina innych pisarzy polskich, zwłaszcza zaś romantycznych, którzy o mieście tem pisali: Krasińskiemu słusznie wśród nich wyznaczył pierwsze miejsce (Słowackiego może należało wspomnieć z okazji pięknych kilku wierszy o Wenecji w „Bieleckim"). Ale, nadmienię, nie romantykom nawet należy się chwała polskiego „odkrycia" Wenecji: będzie się ona należała Sienkiewiczowi, następnie Żeromskiemu, wreszcie zaś Stefanowi Grabińskiemu. Nowak, po Sejmie Czteroletnim i Targowicy, zajął się teraz poezją powstania kościuszkowskiego — przeważnie, jak ją nazwał, „latarnianą", bo odnoszącą się do słynnych wyroków egzekucyjnych.

Osobne miejsce w księdze zajmuje miły szkic T. Mikulskiego „U grobu polskiego Owidjusza", rozszerzający kwestję wielokrotnie omawianą (Przychocki, Skulski, Sinko); nadmienić można, że, wbrew zapewnieniu autora, jeszcze po Syrokomli motyw rzekomego pobytu Owidjusza w Polsce przewijał się w literaturze polskiej: znam takie utwory powstałe w r. 1921 i następnych...

Grono współpracowników księgi omawiających literaturę staropolską dopełnia W. Weintraub, dając jedyną tutaj pracę na tle wieku XVII (o wpływie Rabelais'go na Naborowskiego). Dwie panie wprowadzają nas w przedsionek okresu romantycznego. Apolonja Załuska snuje dalej nić swych studjów nad delillizmem polskim, tym razem obrawszy sobie za przedmiot „Malwinę" Wirtemberskiej. Zofja Ciechanowska też dała wycinek ze swej specjalności, jaką jest historja oddziaływania literatury niemieckiej na polską; tym razem zajęła się Grillparzerem i Kleistem. Bańkowski, naodwrót, zajął się przygodnie oddziaływaniem polskiej literatury romantycznej na literatury postronne, wiążąc fakt ukazania się małoruskiego przekładu „Pani Twardowskiej" z ciekawym faktem: „wędrówek" podań o Twardowskim w literaturze rosyjskiej i ukraińskiej.

W sam środek zagadnień epoki romantycznej prowadzą nas dalsze rozprawy. Z. L. Zaleski omawia „Wartości żywe mesjanizmu polskiego", nawiązując do znanych studjów J. Ujejskiego oraz wskazując, że idea mesjanistyczna, prócz zasług historycznych w dziedzinie literackiej (nawet estetycznej) ma znaczenie aktualne, wcale dziś nieprzebrzmiałe (nb. słusznie jeden z badaczy literatury zwrócił uwagę na pokrewieństwo haseł naszych wieszczów z natchnieniami dzisiejszej wielkiej poetki niemieckiej, Gertrudy Le Fort!).

Stanisław Pigoń wydobył ze szkicownika Goszczyńskiego „oratorjum wieszcze", którego tematem ostatnie męczeństwo Polski i zmartwychwstanie; dzieło to zrujnowane coprawda już w pomyśle przez klęskę 1863 r. — jednak ciekawe przez intencję oraz przez ustosunkowanie się byłego towiańczyka (skłóconego już z Kołem) do wypadków przedstyczniowych. Wydawca rzecz opatrzył obszernym komentarzem, wprowadzającym czytelnika jasno we wszystkie szczegóły: trafne są domysły o źródłach pokrewieństwa oratorjum z niektóremi dziełami Słowackiego z epoki mistycznej. Dziełami temi zajmuje się S. Bilińska, broniąc ponownie mistyczną koncepcję Słowackiego przed zarzutami niekonsekwencji i wskazując na to, że „źródłem światopoglądu Słowackiego było wrodzone usposobienie mistyczne, wzbogacone studjami nad dorobkiem ezoteryzmów różnych religij i koncepcyj różnych myślicieli". Studjum z podwójnego zakresu swych bliższych specjalności dała Zofja Szmydtowa, omawiając Platona odbitego w twórczości Norwida. Rozprawka Harasska o zagadnieniu wzniosłości u Kanta (urywek większej całości), choć niezwiązana bliżej z literaturą polską, ma jednak w księdze zupełną rację bytu, zarówno dla roli, jaką filozof królewiecki odegrał w tworzeniu się (i u nas) poezji romantycznej, jak dla samego zagadnienia, które w literaturze — nietylko romantycznej — bywało aktualne.

Omówienia doczekali się następnie dwaj naczelni krytycy literaccy dwóch epok: Michał Grabowski i Piotr Chmielowski. Pierwszym z nich zajął się Adam Bar, lecz tylko jako politykiem, starając się rehabilitować tego uzdolnionego (a jeszcze zamało zbadanego) pisarza, którego często określano jako ugodowca i renegata. Karol

Krzewski jakby uzupełnia obserwację Kołaczkowskiego, wykazując, że o t. zw. pozytywizmie polskim mamy dziś często mylne informacje, zwłaszcza, że ci, którzy nosili nazwę pozytywistów, niewiele mieli wspólnego z pozytywizmem; tę właśnie prawdę powiedział im w oczy w r. 1881 Chmielowski w swoim „Zarysie literatury" — i to wywołało już wówczas wielką „burzę nad brukiem". Rzecz tę opowiedział autor żywo, szkoda że czasem zbyt dał się ponosić tej żywości, tak iż jakby zaciera się różnica między streszczeniem czy cytatą, a własnemi jego uwagami, wskutek czego mógłby kto jemu właśnie przypisać myśli Chmielowskiego. Przytem drobny szczegół uzupełniający: Sienkiewicz dlatego nie dał żadnego ze swych utworów do wydawnictwa podjętego przez Orzeszkową, że był związany umową z Gebethnerem, który wydawał wtedy pierwsze tomy zbioru jego pism. Gdy zaś doszły do niego tomiki wydane w Grodnie nakładem Orzeszkowej, pisał o nich w kilku artykułach „Gazety Polskiej" — nie bez sympatji, choć czasem w tonie lekko drwiącym, a warto wiedzieć, że drwiny dosięgły przedewszystkiem samą redaktorkę, a mianowicie jej niezbyt udatną „komedyjkę" p. t. „Pokociło się"...

Artykuły sienkiewiczowskie z lat 1879—1881, zamieszczone w „Gazecie Polskiej", zostały odkryte przez niżej podpisanego dopiero w r. 1933. Nie mógł ich przeto zapewne znać Juljusz Kijas, autor sumiennej — jak zwykle — pracy „Źródła historyczne Potopu Sienkiewicza"; także nie znał jeszcze mego artykułu, zamieszczonego niedawno w „Pamiętniku Literackim", szkoda zaś, że przeoczył recenzję „Ogniem i mieczem" zamieszczoną przez Skrochowskiego w „Przeglądzie Powszechnym" (1884). Na podstawie tych artykułów możnaby już mieć nie przypuszczenie, ale pewność (potwierdzoną też inwentarzem bibljoteki pisarza, znajdującej się dziś w Oblęgorku), że Sienkiewicz znał „Historję" Rudawskiego (była ona podobno już w bibljotece jego ojca), wszystkie dzieła Bartoszewicza np. „O zamku bialskim", gdzie mowa o koligacjach Kiszków z Radziwiłłami, „Krzysztofa Opalińskiego" Szajnochy, serję II szkiców Kubali (m. in. o Radziejowskim), Bobrzyńskiego dzieje Polski, Przyborowskiego („Włościanie u nas"), i t. d. Pozatem wiem, że studjował przez czas jakiś w bibljotece klasztornej jasnogórskiej; niestety muszę tu polegać tylko na wtórnych relacjach, ponieważ korespondencja Sienkiewicza z klasztorem jasnogórskim została przed wojną skonfiskowana przez policję rosyjską i późniejsze jej losy są już nieznane...

Zbliżamy się do kart ostatnich księgi, obejmujących studja nad literaturą XX w. Zofja Reutt-Witkowska daje nam nader ciekawą sylwetkę „bojownika romantyzmu", Michała Waligóry, literackiego selfmademana, który w 52 roku życia, w nader ciężkich warunkach ukończył studja uniwersyteckie, by zacząć — w ciężkich nadal warunkach — pracę badawczą nad Wyspiańskim, niezawsze przemawiającą do przekonania innych badaczy, w każdym razie oryginalną i niewątpliwie w zakresie swoim twórczą. Najmłodszy współpracownik księgi, Kazimierz Wyka, określił stanowisko Brzozowskiego do Fr. Nietzschego. Pod wzgl. filologicznym doskonała, ciekawa z wielu względów jest rzecz L. Płoszewskiego o „Księdze ubogich" Kasprowicza. Osobiście cieszę się, że autor uwzględnił rzuconą przeze mnie („Ruch Literacki" 1930) uwagę o wersyfikacji, utworów Kasprowicza, przeciwstawiając się mylnym informacjom Łosia; ponieważ pierwszy określiłem ten rodzaj wierszowania, jako „toniczny", więc pozwolę sobie i na dalsze uwagi: 1. zasady tego wiersza (Hebung und Senkung) figurują w każdym niemal podręczniku poetyki niemieckiej, więc Kasprowicz znał je jeszcze ze szkół niemieckich, 2. wiersze toniczne nie są wcale nowością w „Księdze ubogich" — pisał o nich tempore illo (1817) jeszcze Królikowski, a praktycznie wprowadzał je (nie bez wpływu poetów niemieckich) nie kto inny, tylko Mickiewicz. Jedną cząstkę tej sprawy (toniczne jamby u Mickiewicza, a stąd i u Słowackiego) wyjaśnił kiedyś prof. Kleiner.

„Żegnaj mi, księgo ty moja" — wyrywa się kasprowiczowskie westchnienie, gdy zamykam to grube opus zbiorowe, w którem i recenzent, choć nie był współpracownikiem, „cząstkę swej duszy zostawił"...

Warszawa. *Józef Birkenmajer.*

PISARZE KATOLICCY

UDZIAŁ TWÓRCZOŚCI KATOLICKIEJ W DZISIEJSZEJ LITERATURZE ŚWIATA. Zbiorowy zarys monograficzny. Z niemieckiego przełożył Józef Birkenmajer. Tom I i II, str. 325 i 237. Kraków 1935. Nakładem Wydawnictwa Księży Jezuitów.

Jest to po części przekład, po części przeróbka publikacji niemieckiej p. t. Katholische Leistung in der Weltliteratur der Gegenwart, co się ukazała pod redakcją Ottona Forsta Battaglji. Właśnie rozdziały pióra redaktora uległy w polskim tekście przeróbce: o niemieckiej literaturze (trochę skrócony) i o polskiej (dziesięćkroć rozszerzony).

Książka nie jest równa. Oprócz tych dwu części ostatnich, przedmiot został ujęty przez poszczególnych autorów zwięźle i syntetycznie. Szkice nie wchodzą w szczegóły, acz zupełnie dobrze wtajemniczają czytelnika w istotę problemów. Autorzy są przeważnie bardzo ostrożni i skrupulatni, nie kwapią się też w szafowaniu tytułem „pisarza katolickiego". Tak np. M. Brion, autor szkicu o literaturze włoskiej, stawia nader słuszną tezę: „Określenia: pisarz katolicki, należy używać oględnie. Nie wszyscy, u których zauważymy skłonność do poglądów religijnych, są już pisarzami katolickimi, nawet gdy ich religijność ma katolickie zabarwienie" (167).

To też we wszystkich szkicach (z wyjątkiem tego o literaturze polskiej) spotykamy mało nazwisk i obraz literatury katolickiej w świecie wygląda raczej ubogo. Zwłaszcza kraje romańskie posiadają mało pisarzy o obliczu wyraźnie katolickiem, co się tłumaczy bardzo prosto: w krajach protestanckich pisarz-katolik z istoty rzeczy jest zmuszony manifestować swój charakter religijny; tymczasem w krajach katolickich czynią to tylko pisarze o wyjątkowo silnej potrzebie erupcji religijnej.

Pośrodku stoją Niemcy. Redaktor Forst Battaglia poświęca też obrazowi literatury w tym kraju olbrzymi rozdział o 77 stronach. Jest to nietylko, jak gdzieindziej, synteza, ale też i wcale dokładna analiza tej literatury, czasem aż tak drobiazgowa, że autor darzy nas całemi wierszykami np. o brzozie, o jętce, o koniu i t. p., co chyba już jest zbyteczne. Obszerna bibljografja na 38 stronach uzupełnia ten pierwszy tom dzieła.

Tom II to zarys literatury polskiej, zarys, niestety, nawskroś chybiony. Musimy bowiem odrazu ustalić fakt, zrozumiały zresztą całkowicie w świetle tego, cośmy mówili powyżej. Oto literatura nasza nie ma wcale oblicza katolickiego. Poza produkcją ściśle, urzędowo-katolicką, pisaną prawie wyłącznie przez kapłanów, na całym obszarze literatury polskiej, od Reja poczynając, mieliśmy śród wybitnych pisarzy zdecydowanych katolików bardzo niewielu; np. w w. XIX poza Norwidem, Rzewuskim, Grabowskim, Tarnowskim niedużo chyba ich się znajdzie. Podobnie we współczesnej literaturze polskiej byłbym w kłopocie doliczyć się więcej ponad kilku rzeczywiście, świadomie katolickich pisarzy.

Tymczasem Forst Battaglia pała żądzą narzucenia charakteru katolickiego ogromnej większości współczesnych polskich pisarzy, mobilizując do swego celu aż 330 nazwisk, że pominę już kilkudziesięciu Żydów, piszących po polsku. Rzecz jasna, ani formalna, ani nawet rzeczywista przynależność do Kościoła tego lub owego pisarza jeszcze nie wystarcza, by go nazwać pisarzem katolickim. Może on bowiem albo wcale nie ujawniać w twórczości swego charakteru katolickiego, albo też wypowiadać swe wątpliwości, lub nawet wyraźnie niekatolickie mniemania. To ostatnie zastrzeżenie odnosi się np. do Marjana Zdziechowskiego, który w Kancie, Secrétanie lub Tołstoju nader często wychwala z gruntu niekatolickie twierdzenia. Podobnież Zygmunt Wasilewski podnosi z uznaniem panteizm Kasprowicza lub jego anty-chrześcijański prometeizm, jednocześnie kwestjonując prawo do przemawiania w poezji pisarzom o ustalonych, zdecydowanych katolickich przekonaniach, jak np. Norwid (patrz książkę Z. W. o tym poecie, str. 186). Natomiast sądzę, że Wincentego Lutosławskiego należałoby stanowczo zaliczyć do pisarzy katolickich, a to chociażby ze względu na jego wspaniałą apoteozę religji (Religja w życiu narodowem, 1909). Autor tymczasem odzywa się o Lutosławskim lekceważąco. Uderza to tembardziej, że jest przecie naogół bardzo łaskaw nawet na pisarzy nic z katolicyzmem nie mających wspólnego. Tak np. stwierdziwszy,

iż Jerzy Hulewicz nie jest „pozytywnym" katolikiem, że „śród licznych jego wypowiedzi na tematy religijne niema ani jednej, którąby nie zatrącała herezją", sądzi jednak, że i jemu się należy miejsce w tym przeglądzie, gdyż „z jego pisma wyszedł Zegadłowicz, „Czartak", Witold Hulewicz i poeci wileńscy" (116—117).

Otóż, jeśli pominiemy nawet wątpliwy katolicyzm tych wszystkich poetów, tego rodzaju potrącenie (znów zresztą wątpliwe) nic przecież nie mówi. Toć w ten sposób należałoby poprostu dać ogólny obraz literatury, uwypukliwszy tylko zjawiska specyficznie katolickie..

Tymczasem Forst Battaglia zupełnie się nie orjentuje w temacie. Oto poświęca „k a t o l i c k i e m u piśmiennictwu w Polsce powojennej" aż 200 str., aby w finale niespodzianie oświadczyć: „Żegnamy obecny stan literatury katolickiej w Polsce: j e s z c z e j e j n i e m a, a l e b ę d z i e".

Trudno o bardziej zabawne zakończenie i proroctwo!

W całej pracy aż się roi od zasadniczych nieporozumień. Np. Berent jest dla autora reprezentatywnym pisarzem katolickim, którego się nawet zestawia z ...Maritainem (57). Tymczasem „Żywe kamienie" Berenta — to utwór o wybitnych tendencjach protestanckich, gdzie autor ujawnia szczerze sympatję dla kacerzy i osób pokłóconych z Kościołem, za to po burckardtowsku nie rozumie średniowiecza.

Podobne zastrzeżenia należy poczynić jeszcze przy Chrzanowskim, Braunie, Wołoszynowskim, Wańkowiczu, Kurku i in., których autor pochopnie promuje na pisarzy katolickich, acz sam pisze np. przy Braunie, iż „jego racjonalizm romantyczny sprzeciwia się prawdzie katolickiej" (159), a przy Wołoszynowskim np. „nie może się zdecydować, czy ma prawo zaliczyć go do literatury katolickiej" (164). Więc poco wogóle rozpisuje się o tych pisarzach? Ale autor jest nawet łaskaw na zdecydowanych „pogan" (jego własny termin) i zupełnie już niepotrzebnie wspomina o takich np. skamandrytach.

W konkluzji tedy stwierdzamy, iż ujęcie literatury polskiej przez Forsta Battaglię zupełnie się nie zgadza z metodą, którą się posługują wszyscy inni autorzy w tej publikacji. Forst Battaglia, aczkolwiek jej redaktor, niepomiernie rozszerzył jej ramy i zatarł linje tej granicy, która w założeniu musiała oddzielać pisarzy katolickich od wszystkich innych. Obraz na tem dużo stracił i nikt z tej książki nie potrafi się zaznajomić z charakterem i istotą prądu katolickiego we współczesnej polskiej literaturze.

Wilno. *Stanisław Cywiński.*

N O T A T K I

DOMNIEMANY WZÓR „KONCERTU JANKIELA"

W artykułach o „koncercie nad koncertami" (Ruch Literacki VI, 6; Muzyka nr. 84; IKC Dod. lit. 1934 na stulecie Pana Tadeusza) doszliśmy do konkluzji, że wzoru mickiewiczowskiego koncertu Jankiela w współczesnej literaturze muzycznej nie znajdujemy, że koncert, acz tkwi w rzeczywistości muzycznej, hołdującej analogicznym upodobaniom, jest oryginalny. Nie zakwestjonował tego sądu Doman Wieluch w artykule „Najpiękniejszy pomnik Szopena" (Marchołt 1934, I, s. 144—162) fantazjując, że koncert jest zlepkiem poszczególnych opusów Szopena, znanych Mickiewiczowi w chwili tworzenia „Pana Tadeusza". W dowodzeniach oparł się Wieluch na powszechnie wśród niektórych krytyków panujących komunałach, że Mickiewicz uwielbiał muzykę Szopena i że Szopen jest w każdym takcie oryginalnym inowatorem. Gdyby był pogłębił badania, znalazłby niewątpliwie niepodlegające zakwestjonowaniu prawdy, że Mickiewicz nie był ani sympatykiem Szopena jako człowieka, ani entuzjastą jego muzyki (arystokratycznej, pełnej omdlewających melancholij), której ducha nie rozumiał (nie on jeden, ale nawet taki znawca, jak J. Elsner), że, o ile się nie mylimy, prawie to wszystko co

przytacza w argumentach jako inowacje ściśle szopenowskie, tkwiło w dużej mierze w współczesnem życiu muzycznem. Wobec takich podwalinowych przesłanek trzeba uważać za zupełnie nierealne wystawienie przez Mickiewicza w „Koncercie Jankiela" „najpiękniejszego pomnika Szopenowi".

Jeśli krytyków niepokoi żądza znalezienia wzoru koncertu Jankiela, który mógł spożytkować Mickiewicz, to możemy im przytoczyć odpowiedni. Pochodzi z dziedziny teoretycznych rozważań, a nie rzeczywistej muzyki. Natrafiamy na niego w Tygodniku Muzycznym 1820 r., nr. 26 w artykule redaktora Karola Kurpińskiego „O pieśniach w ogólności". Tygodnik ten zapewne miał w ręku Mickiewicz, wysoko Karola Kurpińskiego jako twórcę pieśni stawiający. Odnośne zdania brzmią: „Starodawna jaka piosneczka z jakiegokolwiek kraju czyli to szkocka, szwajcarska, słowiańska, amerykańska, słowem, opierająca znakomite dzieje swojego narodu słodkie w nas budzi marzenia; cóż dopiero pieśni, opowiadające sławne dzieje własnej ojczyzny, ileż nie będą miłemi dla następnych naszych pokoleń! Od Konstytucji 3 Maja 1791 aż dotychczas mamy zbiór śpiewek, które dobitnie odznaczają ciąg wypadków, jakich ojczyzna nasza doznawała; z tych znaczniejszemi są:

Polonez grany i śpiewany w d. 3 maja
  Zgoda sejmu to sprawiła,
  Że nam wolność przywróciła,
  Wiwat! Krzyczcie wszystkie stany,
  Niechaj żyje król kochany! etc.
Polonez Kościuszki
  Podróż twoja nam niemiła etc.
Mazurek
  Surdut granatowy z czerwonym kołnierzem etc.
Mazurek
  Dalej chłopcy, dalej żywo,
  Otwiera się dla nas żniwo etc.
Marsz
  Kościuszko ojciec ten nas obroni
Sonata i Polonez:
  Bitwa pod Racławicami
Smutny polonez do grania:
  Wzięcie Kościuszki w niewolę w 1794 r.
Pieśń:
  Gaśnie ojczyzna już i w przepaść leci,
  Żegna was matka ukochane dzieci.
Mazurek:
  Oj, biedaż nam mazury
  Jakiej jeszcze nie było
Mazurek legjonistów:
  Jeszcze Polska nie zginęła
  Póki my żyjemy...
  Marsz, marsz Dąbrowski
  Z ziemi włoskiej do Polski.
Marsz z roku 1806:
  Cóż to za orły, zjawiska?
Marsz pod imieniem ks. Józefa.

Wielki marsz tryumfalny na powrót wojska polskiego ze zwycięstwa nad Austrjakami w 1809 r.

Marsz „Do koni, bracia, do koni" z 1812 r.

Nakoniec hymn do Aleksandra I cesarza wszech Rosji w 1814 r.

Nietylko takowy zbiór byłby szacowną dla potomności pamiątką, ale nadto na przyszłość stałby się dla kompozytorów wielką pomocą w sztukach, gdzie muzyka ma sprawić pewne wspomnienia (reminiscencje)".

Przypuszczamy, że to zestawienie Kurpińskiego było istotnie pomocą Mickiewiczowi w układzie ogólnym i w pewnych szczegółach koncertu Jankiela.

Kraków. *Stanisław Zetowski.*

Redakcja „Ruchu Literackiego": Warszawa, ul. Kromera 4—18.
Administracja: Warszawa, Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska" Nowy Świat 23-25. Tel. 27002.

REDAKTOR: PIOTR GRZEGORCZYK

Drukiem Zakładów Graficznych „Bibljoteka Polska" w Bydgoszczy

RUCH LITERACKI
ROK XI

DWUMIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY

WIEDZY O LITERATURZE
HISTORJI LITERATURY
KRYTYCE LITERACKIEJ
BIBLJOGRAFJI

PRENUMERATA

ROCZNA . . . . . . zł 6.—
PÓŁROCZNA . . zł 3.—
ZESZYT POJEDYŃCZY . . zł 1.50

●

Przedpłatę wnosić można czekiem: P. K. O. 13909 Oddział Warszawski Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza (z zaznaczeniem: prenumerata Ruchu Literackiego 1936), lub uiścić w Instytucie Wydawniczym „Bibljoteka Polska", Warszawa, Nowy Świat 23-25.